

Aby rozpocząć lekturę,  
kliknij na taki przycisk ,  
który da ci pełny dostęp do spisu treści książki.

Jeśli chcesz połączyć się z Portem Wydawniczym  
LITERATURA.NET.PL  
kliknij na logo poniżej.



*Krzysztof Kamil Baczyński*

# **Sen w granicie kuty**

**Wybór poezji**

**Tower Press 2000**  
*Copyright by Tower Press, Gdańsk 2000*

## **Z JUWENILIÓW**

## Dalmacja

### I. G ó r y

Kamienie, kamienie,  
daleko,  
szeroko,  
osiołki spłoszone  
po drogach się wloką  
powoli,  
powoli,  
ciężarem stłoczone,  
u szyi,  
u szyi  
telenta się dzwonek,  
nad przepaść się tłoczą  
przestrzenią spłoszone,  
u szyi,  
u szyi  
telenta się dzwonek.

### II. Z a t o k i

Od szumiących fal zatok  
serce mi ogłuchło,  
napełnione przestrzenią  
błękitem napuchłą.  
Słowa szare jak skały,  
niepotrzebne, huczące,  
przetapiały się w złoto  
w lawie słońca gorącej.

Krew pokryła się pianą  
przelewaną z błękitów,  
przeogromnych, stopławnych,  
niebieskiego sufitu...  
szum...

### III. N o c n a m o r z u

Morze jest w nocy czarne – błyszczący czernią –  
atrament Boga rozlany na ziemię  
i lśniąca taflą bezfaliście skrzepły;  
świeci w bezruchu aksamitem miodu...  
Oczy krewetek białe – łzawy fosfor –

latarnie denne, śpiewające światła.  
Białe księżycyca ostrze zimnomienne  
rozcina smołę na mieniające smugi...

płyńmy

sznury białe powietrza płyną z palców,  
budzą ranami bieli ciszę głębi –  
smutek i groby zatopionych krain

płyńmy

w dole spowite noce czarną krepa,  
wkute księżycyca światłem w czarnobarwie  
w ramy faliste kamienistych brzegów

## Lincz

Przerażone nocą oczy okien  
zaświeciły w ulicę plamami,  
zakwefione ulice głębokie  
ziały pustką – czarnymi ramami.  
Rozpostarty nad czeluścią ulic  
krzyk się łapie ściany rozpaczliwie,  
do szyb drżący, dźwięczący się tuli,  
rozpętany w bruku twardej grzywie.

A tłum wciąż rósł  
i krzyczał, wrzał,  
plątał się w gruz  
straconych chwil...  
tłum w oczach rósł  
nalanych krwią...  
    ...i cisza znów...  
    ...a szyby drżą...

nie!!!  
biegną już...  
    butami w bruk...  
ulica drży...  
    wybija takt...  
    tysiącem nóg...

tysiącem kroków  
krzyczy bruk...

serce kamieniem w piersi zamarło,  
strach śliską łapą  
ściskał za gardło  
    cienie szarymi  
    gonią palcami...  
        ...cienie goniące  
        ...szumią po ziemi...

Zaplątały się ulice przedzą  
    bez wyjścia...  
a kroki stukocą i pędzą...  
dopadli...

Tłum się skłębił czarnym węzowiskiem,  
ręce!

    grożą pięściami zawarte,  
ręce!

    łapią od chciwości śliskie,  
ręce!

    szarpią ubranie rozdarte...

Znów latarnie kiwają się w mroku,  
gdzieś zamiera cicho echo kroków,  
noc wylała w ciszy czarną rzeką,  
szmata ludzka...

    na bruku...

        skrwawiona...

symbol dwudziestego wieku...



## Ars poetica

Wiersz jest we mnie zły, obcy, zły i nienawistny,  
i pali moje noce gorejącym ogniem,  
idzie przeze mnie tłumny, rozkrzyczany sobą  
jak pochód ulicami niosący pochodnie.

Wiersz jest zły, nienawistny, chce rozerwać formę  
(jak to ciężko zakuwać wolnego w kajdany),  
choć wydrę go z głębi palącego wnętrza,  
nigdy całkiem nie będę jego władczyim panem.

Z krzykiem szarpie się, męczy, aż strzeli wołaniem,  
potem stanie się obcy, przyjaciel niedoszły,  
stanie w progu zamrzłym, płonący, stworzony,  
i pójdzie w mróz wieczorów tam, gdzie inne poszły.

*jesień 38 r.*

## Chrystus

Przejsć długim płaczem zapomnianych ścieżek  
przez puste, krwawe wydmy słów i szorstkich spotkań,  
spłynąć wykwitem płatków zmiodniałych na wiosnę  
jak cisza biała, gęsta, miękka wonią słodka.  
Przejsć... gromnicami drzew odprawić święta,  
krzyżami wonnych dni zasadzić puste drogi,  
o łukach nieba, brudnych przechodniach pamiętać,  
być przyjacielem smutnych i najcichszym bogiem.  
I siać niepokój sumień w oczy – brudne szyby  
na pośmiewisko i na kłamstwa wieków.  
Przez drogi cierpkie, dalekie i gorzkie  
po coś tu do nas przyszedł, boże czy człowieku?

I w końcu  
kłamstwem rozcięli przymknięte powieki,  
pękł kobalt nieba szorstkim poszumem błyskawic,  
niebo spłynęło szybkim w horyzont odbiegiem  
kroplami sinymi mleka ciszę zadławić.

Zastygła wolno krew na zwiędłych kartach księgi,  
przechodzą bosa nogi w pyle, jak co dzień  
i kiedy konasz co dnia na krzyżach przydrożnych,  
minę cię nieobaczny, zmęczony przechodzień.

1939

## Piosenka

Znów wędrujemy ciepłym krajem,  
malachitową łąką morza.  
(Ptaki powrotne umierają  
wśród pomarańczy na rozdrożach.)

Na fioletowoszarych łąkach  
niebo rozpina płynność arkad.  
Pejzaż w powieki miękko wsiąka,  
zakrzepła sól na nagich wargach.

A wieczorami w prądach zatok  
noc liże morze słodką grzywą.  
Jak miękkie gruszki brzmieje lato  
wiatrem sparzone jak pokrzywą.

Przed fontannami perłowymi  
noc winogrona gwiazd rozdaje.  
Znów wędrujemy ciepłą ziemią,  
znów wędrujemy ciepłym krajem.

*1938 r.*

## Piosenka księżyc

Motto: La lune blanche...  
(Verlaine)

W skośny stół z matowej czerni  
księżyc wylał płytką rzeką  
szumią ciszą w szklany werniks  
gwiazdy spadłe niedaleko

w gęstej nocy jak w akwariu  
płyną długie, śliskie ryby  
uliczkami gęstych podwórz  
szyby szorstką łuską wybić

gładzi zwilgłe srebrem ściany  
płynnych łusków miękki natłok  
i na stole rozślizganym  
czarny piesek gryzie światło.

*16. I. 39 r.*

## Podróż w naturę

Motto: Par les soirs bleus d'ete  
j'irai dans les sentiers  
(Rimbaud)

1

Starym szlakiem powrotnych łabędzi  
wiosna wróci jak balon wzdęty białym ciepłem  
na ramionach drzew ogorzałych od słońca  
skwar południa rozwiesi płachty nieba skrzeple

2

Skwarne zwierzyńce miast  
odklejone od stóp opadną w dół kotlin  
zasianych piołunem gęstym i miętą  
w ciecz topniejący skwar  
obłoki w błękit przekropli

spłynie w wonne pola trawą świeżo zżętą  
jak rzeką...

3

natura – otchłań  
zieleniejąca na krańcach błękitu

wejdziemy w prężne powietrze górskich strumieni  
w puszcę – łuk morza ucichły chłodem wśród skwaru  
w ciche kopuły wite na ptakach jak wieniec  
w mroczne sklepienie poszumu rozdarte świstem  
ptaków...

niżej...

w bujnym zielonym bambusie trzcina kołysze jak szelest  
dżungla zielonym ciepłem owionie dźwięk brązu  
– ciało

słońce na białych diunach piasek w poszum zmiele  
wieczór opadnie w oczy uśmiechniętym bonzą.

A noc wilgotnym ciałem otrze się w mgły zieleni  
dżungla paruje w górę moką mgiełką potu

uśniemy w zapach włosów jak w morze – kołysem  
kiedy mewy przebiją błękit bielą lotu

*1939*

## Hellada

Kolumny mdleją cieniami,  
bluszcz gryzie słodki jak biel marmur,  
błękitne wzgórza pełzają po miękkim morzu,  
cisze spadają w dłonie bogactwem za darmo,  
w szept mgieł schodzą strumienie w cierpkich błyskach  
noży.

Można nic nie mówić,  
w chmurach się położyć,  
wędrować:  
w drodze napotkam omdlałą świątynię Nike,  
obejmę miękko dłońmi – przyjacielskim splotem,  
w góry zmacone echem – pasterskim pokrzykiem,  
pójdziemy wolno nad groby zgubionych homerów.

## **„Stare miasto”**

Księżyc zadymiony niebem  
rozlepia plakaty – żółte plamy ciszy,  
posłuchaj... ulica schodzi w mrocznym żlebie  
w rzeki zgęstniałych gwiazd,  
można usłyszeć:  
jak miasto brodzi w neonowym szumie,  
ryciny ulic wypukłe odchodzą w rzeki domów,  
pękają w średniowieczne place, obszernie,  
patrz!...  
rycerze jadą dołem w półżalobnej czerni...



## Pożegnanie żalosego strzelca

Do widzenia...  
noc gwiazdami zaorana,  
w piersiach naszych eksploduje pusty wieczór,  
zbyt jest ciężko łyzy przetapiać w męską szorstkość,  
zbyt jest ciężko gorzkiej prawdy w ustach nie czuć.  
Niebo w błocie zatopione pije ziemię  
i zwichrzone, granatowe szarpie drzewa,  
to zbyt trudno nigdy szczęścia swego nie mieć  
i o szczęściu bohaterstwa swego śpiewać.  
Tak daleko, droga ciężka i nabrzmiała,  
od łez twardych poorana w długie bruzdy,  
tak się idzie, łoskotami szyjąc próżnie,  
po kamieniach mgłą opitych, bielą tłustych.  
Zbyt daleko są okopy krwią rozpękłe,  
myśl na drutach krwawi usta nieszczęśliwe  
i bezradnie ciemne noce nawołują.  
Zbyt jest trudno wrócić do was młodym, żywym,  
zbyt jest trudno...  
łatwo zostać bohaterem...  
Jakie szczęście, że nie można tego dożyć,  
kiedy pomnik ci wystawią, bohaterze,  
i morderca na nagrobkach kwiaty złoży.

**1939-1942**

## Ballada o wisielcach

I

Kołyszymy się, kołyszymy,  
wmurowani w pejzaż szubienic.  
Wieje śmiercią znużoną. Jak kruk  
krąży niebo drapieżne i cicho  
dzwoni wiatr o ostrogi nóg.  
Nocy inna, nie przyjdiesz, nie przychodź.  
Tylko dni obdrapany mur  
kończy ziemię wyrwaną krokom.  
Zaciśnięty wilgocią sznur —  
żalu lament skowyczy nad drogą.  
Jak upiory żerujemy na snach,  
jak upiory wypijamy życie.  
Nocą księżyc podchodził jak znak  
i jak oko wisielca z chmur wyciekł.  
Kołyszymy się, kołyszymy,  
wmurowani w pejzaż szubienic,  
pośród zdarzeń, zygzaków i gwiazd,  
z długich rąk wyrzucamy cienie —  
pętle palców na martwy sen miast.  
Wmurowani w pejzaż szubienic.

II

Ci sami  
w schodów dysonans wchodzimy co wieczór,  
do tych samych mieszkań, gdzie martwa żarówka ćmi,  
budzimy się jesienią, zawsze jesienią,  
oczy zawsze – w czarny wyrok drzwi.  
Potem w długie ulice, od mgły  
gęstniejące w realny opór.  
W nasze głowy – drzewa jesienne,  
słońce spada zachodem jak topór.  
Potem dalej, potem dalej, potem dalej,  
w noc bezgwiezdną, w puste ręce łapać oddech,  
w korowody zaplątanych alej,  
w gwiazdy czarne i jak niebo – chłodne.  
Potem dalej, potem dalej, potem dalej,  
zawikłani w wodorosty zjaw i cieni,  
obudzimy się kołysząc, znów kołysząc,  
wmurowani w pejzaż szubienic.

*IX m. 1940 r.*

## Ballada o pociągu

### I

Na małych, nieznanach stacjach  
są pociągi martwe i puste,  
gdzie cień dróżnika wypadł z czasu i usnął  
w żółtych, dworcowych akacjach.  
Czas zatrzymany przeciągle dyszy.  
Te stacje są w Singapur, pod Warszawą i w Miami  
i prowadzą je zawsze w szarym bezruchu ci sami  
maszyniści umarli od trwogi i ciszy.

### II

Czekam na dworcach samotnych i pustych  
licząc gasnące żarówki gwiazd.  
Chodzę powoli, stoję przed lustrem  
obcych, szerniałych pejzaży miast.  
Jest coraz dalej, mży sufit echa,  
w takcie wagonów upływa las.  
Już za daleko smutek przejechał  
w noc gwiazdziste, noc bez gwiazd.  
Obce pejzaże są jak pocztówki,  
zwierzęta wycięte są tylko z atlasów.  
Już wyminąłem jasne i ciemne  
widoki wszystkich epok i czasów.

### III

Jadąc przez wieki umarłem już tyle lat temu  
i fantom twarzy wkleiłem w lustra okien.  
Mijam tekturowych dróżników, głębokie  
dworce bezruchu w ciszy, której nie można przemóc.  
A ty czekasz, płaczesz, nie uradzisz  
nocy podróźnej, ciężaru ostatniej stacji jawy.  
Mój pociąg nadejdzie ze wszystkich stron naraz,  
sypiąc zamiast dymu  
liście czarne i krwawe.  
Mój pociąg przywiezie ciężar wszystkich pejzaży,  
mój pociąg jak smok zawadzi o noc pękniętą piersią  
i z miliona okien spojrzysz na ciebie moją twarzą  
wyblakłą podróżą i śmiercią.  
Nie znajdę pieśni wydumawszy cię najstraszniej  
i najpiękniej,

będziesz stać jak serce mego bólu samotna i bosa,  
gdzie pociąg ślepy uderzy o koniec toru – pęknie  
i ze strasznym gwizdem wstąpi w rozdarte niebiosy.

*6. X. 40 r.*

## Madrygał

O fauno moja: łagodne zwierzęta  
kontynentów opasłych i wysp z majoliki.  
Już przybywacie, białe słonie smutku  
i niepisanych wierszy brzęczące słowiki.  
Karawany wielbłądów, kołyszecie pejzaż  
wszystkich wieków przebytych, pustynie umarłe,  
przynosicie proroków nieznanych. O węże  
mojej trwogi, zwinięte pod gardłem.  
Oto jesteście, koty samotne na dachach,  
w alejach jesionowych kołysze was podróż.  
Osty waszych skojarzeń o błędzących strachach,  
które zimowy księżyc wrzaskiem dzisiaj podrą.  
Lwy kamienne, ziewacie przeciągle,  
lwy samotne sprzed gmachów miejskich,  
lwy prawdziwe, przybywacie ciągle  
i czekacie na mnie przed wejściem.  
Krokodyle o spojrzaniach ptaków,  
cierpkie wilki, szalone psy,  
raki nastroszone z kolorowej laki.  
Banię słońca przyniesie najsilniejszy byk.  
Czekam dnia, gdy ostatni przybiegnie zając.  
Pod wiatru złamanym drzewem  
czekam w spalonym rajcu  
na ciebie, fauno, i straconą ewę.

*1940 r.*

## Dary deszczu wiosennego

Świat naprzeciwko zolbrzymiał:  
Po snach przewala się ciężko dzień otwarty jaskrawo  
i bolą wspomnienia wieków przebytych,  
zarastające  
urojonym morzem podróznym i przydrożną trawą.  
Dziś: kiedy deszcz wiosenny, drzewa sztywne jak karton,  
w pokoju:  
pies patrzy w zaprzestrzeń otwartą —  
dalszą niż mój wzrok.  
Szczeka – wywołuje zaświat ukryty w jaźni.  
Dzień odprężony deszczem urywa się w oknie  
i najwyraźniej  
w obcych ulicach słyszę swój nabrzmiały krok,  
gdy ulatuje szary szerszeń szmeru.  
Pamiętam, w miastach starych, nie odszukany przez czas,  
chodzę długo ulicami – jasnymi kolumnami słoty,  
i na najwyższej wieży zegarów  
brzask  
znajduje mnie nagle skutego w niebo jak w gotyk.  
Pamiętam twój uśmiech nie odszukany  
w śpiewnym wyrazie krynolin,  
wśród srebrnych sygnaturek deszczu  
i serce, które boli  
wszystkimi domami tych miast opuszczonych.  
O norymbergi, awiniony moich wędrówek!  
okna wasze – oczy powrotu – gasną.  
To ostatnia wieża z daleka ujrzana  
jak ołówek  
wypisuje w przestrzeni rachunek czasu.  
O wiośnie, o lasce złamanej wzrokiem  
odnoszę ten ciężar miast przeżytych  
do nieskończonych alej kasztanów, do troski mojej,  
do mitu.

*20. IV. 40 r.*

## Piosenka

Upływa lęku biały jeleń  
w motylim pląsie nóg.  
Kołuje wiatr i dmie jak strzelec  
w wydęty chmury róg.  
Pieśń dymi czarna. Duszny księżyc  
obcina bliski klon  
i noc o okna struny pręży,  
gdy deszczu szorstki bąk.  
To jesień, Anno, Anno, wybaw  
od jawy i od snu.  
Odchodzą drzewa, deszcz na szybach  
i krąży echa huk.  
O, zostaw szary echa niewód,  
gdy w ukos nieba płynie Bóg.  
To jesień, Anno, Anno, niebo  
pęka. Napina orion łuk.  
To jęczy w nieba wbity pałak,  
złamany wiatru maszt,  
to, Anno, serca trzask jak gałąź  
pod gwiazdą, którą znasz.  
Odpływam dziś, marynarz czasu,  
pokładem spopieliałych drzew.  
Gazele snu na oczy nasuń,  
gdy jesień ziewa – płowy lew.  
O, Anno, wybaw, biały jeleń —  
upływa trwoga w pląsie nóg.  
Kołuje wiatr i dmie jak strzelec  
w wydęty chmury róg.

*12 wrzesień 40 r.*



\* \* \*

## **A my kawalery błędne** **C. K. Norwid**

Czarne cheruby kołyszą widnokrąg.  
Konno, na koniu przestrzelonym przez wiatr.  
Ziemia oddycha już wolniej i mokro,  
wroną leniwy kracze trakt.  
Otom jest rycerz średniowiecza. Drogi  
prowadzą wszędzie naraz, a ptaki jak liście  
oderwane gałęziom. Biją o ostrogi  
kroki traktów, przy drogach płaczą białe wiśnie.  
Dni wypełzły, do zamków daleko,  
a jelenie z lasów wychodząc patrzą lasem.  
Przystanę nad bezludną jesionową rzeką  
poić konia zielenią i czasem.  
Jakież to drogi wypraw? dzwoni cicho niebo.  
Pośród liści szeleszczę jak sen o wygnaniu.  
Tyle wieków minęło od mego pogrzebu,  
tylu ludzi umarło przy ostróg mych graniu.  
Mnie nie wolno umierać. Nie jestem upiorem,  
tylko wspomnieniem o sobie, trwożliwym zwierzeniem  
królowy o zielonym spojrzeniu. Toporem  
rozrąbuję gałęzie przez sobą i siebie, a wieniec,  
wieniec liści jesiennych kołuje nad czakiem.  
Jakie mi góry szklane koń wystuka z podków?  
Gdy gwiazdy nieostrożnie przemienione w ptaki  
za włosy mnie prowadzą pod melodię słodką.  
Jakie tętnią miraże? Oto rosna baszty  
zasiane dłonią tęsknot, śpiewniej słyhać głos twój.  
Oto wieże kołyszą wysmuklej niż maszty.  
Ach, nie wrócę już do was. Trakt się zbliżnił ostem.

*listopad 40 r.*

## Elegie zimowe

I

Umarli bogowie. Kościoły  
zieją jak puste trumny.  
Śnieg – stratowane anioły.  
Gdzie wracam – nierozumny?  
Dyszy kadzidło. Dokąd  
prowadzą ulice puste?  
Nie zrówna echo krokom,  
zgorzałe myśli – ustom.  
Oto usłyszę z portyków  
długie treny procesji –  
czarne kolumny mnichów –  
sen, co się nigdy nie śnił.  
Twarze z trocin i wosku,  
świece łkające od gwiazd.  
Z jakich czasów te kukły,  
do jakich prowadzą miast?  
Starcy o oczach z ołowiu,  
dziewczęta o włosach z ognia!  
wiatr wiotko wami powiał,  
gdzie stoję jak pochodnia.  
Gdzie stoję jak pochodnia  
przybity za włosy do komet,  
wiejecie cieniście. Jak gromy  
zastygłe w glinianych stągwiach.  
Starcy mistycznych zdarzeń  
zamarli w posągi gromnic,  
kobiety w innym wymiarze  
zamarłe w płaski pomnik –  
skąd przychodzicie, dokąd  
wiejecie przeze mnie śmiercią?

Jest ślepo. Śnieg nagrobki  
zarasta kocią sierścią.

II

A więc odpływa pejzaż. Drzew przykute psy  
łuskają kłami liści i kładą szorstkie głowy

na niebo z białych kamieni. Od dobrych i od złych  
odchodzę wilk. Nie wzywa zielone echo dąbrowy.  
Już ty nie przyjdiesz. Maszty, okręty głuchych polan  
płyną do mórz południowych. A mnie do gwiazd  
północnych.  
Słysząc zgniecione trawy jak bąki u twych kolan.  
Brzęczą mi drogi, szybują do konstelacji obcych.  
Szybują konstelacje, mistyczne zodiaki. Przystaję —  
wędrówka moja uchodzi o kiju wspomnień — ślepa.  
Pod maską nieba — jak bożka z zapachu innych krain,  
nad sępy wrogich obłoków, nad moją samotność, nad przepaść.

### III

Białe charty na śniegu kładą smutne pyski  
wężąc zgubioną gwiazdę. W zmierzchu idą cienie  
zbiegłe od swoich ludzi. Kroki złe i śliskie —  
— stawiam kolumny świątyń zburzonych. Przestrzenie  
łagodnie odbarwione szybują czy stoją,  
kiedy krokami wieki odmierzam w pokoju.

Wróćcie mi dni dziecięce jak trąbę archanioła —  
zbuduję wam okręt, który przewiezie na żywy brzeg!  
Oto czekacie, pomniki — zdrewniali święci w kościołach.  
Słyszycie: wołam przeszłości, zaklęty w smutek i śnieg.  
Nie szukać tropów pieśni, głuchego czasu nie wołać,  
gdy tylko gacek echa noc omotuje głęboką.

Spływają widma ptaków. Nie ma już wracać dokąd.

### IV

Żegnaj, księżniczko jawy. W akwarelowe miasta  
pędzi koń mój drewniany płosząc ptaki krzewów,  
gdy ty w kamienny pejzaż jak biały posąg wrastasz,  
gdzie moją dawną maską płacze nad tobą niebo.  
Miasta dzwonek miedzianych! W pokojach waszych ulic  
gwiazdy płyną, gospody, a w szyldzie czerwony kogut,  
tam w winny sześcian kubka jak w ciszę się zatulić,  
cień nieprawdziwych ludzi jak totem zawiesić nad trwogą.  
Trzeszczy zbroja, czerwono mury odbija jak rzeka  
i płynie ze mną wśród wróbli, wśród czarnych lotów kruków.  
Z kołyski siodła wieczorem wysiądę i poczekam  
na zamek, który wzdłuż ulic nadejdzie w kolczugach łuków.  
Zamkowe sale jak echo — sklepienia martwych chórów  
obsiada mnie, jak pomnik gołębi obsiada trzepot.  
Znużony, zastygnę u sklepień; w strzelnicy rudego muru  
twój portret sprzed lat zobaczę wprawiony w zimne niebo.  
Twe oczy białe od marzeń zawloką mnie nad studnię,

gdzie skuty w drewniane dłonie płomień wody mdławy.  
W tym wspomnieniu prawdziwym skoczę... a żółte  
południe  
słońce uwiesi u szyi. Żegnaj, księżniczko jawy.

V. O ł a n i

Po rdzawych śladach echa nie wytropię  
łani z rubinowych łez.  
Kiedy przejdiesz za chmury, tam graniczny kopiec,  
gdzie tylko pręgą smutku jest myśliwski pies.  
Po żółkłych kroplach liści nie wywołam  
płonących fregat gwiazd —  
tam jak odarty z jaźni przez wiatr i tam woła  
martwa jak dzban gliniany – wspomnień gład.  
W niebie ze szpilek śniegu – nie odszukam —  
tam gwiazdy białe jak chłód.  
Żadne zwierzęta mityczne nie szemrzą w czarnych bukach,  
żaden dąb nie wyśpiewa tych nut.

Z nieba czarnej tablicy gwiazdy kredowe zetrzyjcie —  
– pejzaż i tak zgaszony jak wieczorna wieś,  
bo nad żadne jezioro urojeń nie przyjdzie  
łania ubiegła w trwozę, w zagasłych komet ogień,  
łania z rubinowych łez.

*styczeń 1940 r.*

## Pieśń wigilijna

Nam już wszystko za blisko, ptakom nieodlotnym.  
Twarze są za dalekie o odległość ziemi.  
Tak, to jest wieczny postój, który brzmi jak odjazd,  
dzień znużony po brzegi wyszeptanym: przemień.  
Gesty więdną od świtu w przepelnione życie,  
list do Boga, w gołębie zmieniony – odleciał  
w codzienne szklane niebo, stwardniałe jak granit.  
Wieczorem: słycać odlot za szybkich stuleci.  
Korowodami chodzą poszeptane jaźnie  
przed zwierciadła stłuczone w obcość cudzych odbić.  
Przez okna można wyrzeć w noc płynących ulic  
i zobaczyć niezmiennność odchodzącą w zbrodni.  
Przez szeroki oset pola daleko na przełaj  
wraca się znów w znużenie i wyblakłość luster,  
po omacku napotkać wynędzniałą ziemię  
i tylko niebo, Boże, nieskończenie puste.  
Nigdzie nie jedzie pociąg śniegiem zgasły – żalem.  
Na brygantynach domów zamarłych posłuchać:  
jak dźwięczy miasto mniejsze o skrzypienie śniegu,  
golgoty gwiazd-objawień i ziemia jest głucha.

*Kochanej matce –Krzyś*

*dn. 23. XII. 1939 r.*

\* \* \*

Pod nieba dłoniastą palmą nie daj mi chodzić samotnie,  
Agni.  
Otwórz rzeki, a sosny krzykiem z ognia i wiosny  
podpal i nagnij.  
W jakie zimy prowadzisz, jakich kolęd słuchać  
śmiertelnych?  
Otom jest syn wygnany z ziemi niepoznanej,  
niewiernej,  
Obco mi niebo czarne i białe zawieszasz  
nad czas samotny;  
oceany z kamienia, w które się przemieniam  
jak w lodach okręt.  
Nad dniem ostatnim stawiasz mi długie, woskowe  
świec rzędy,  
które są stare drzewa, kiedy w portów brzegach  
rzą argonauckie okręty.  
Odbierz mi ziemię, miłość rozumną oderwij  
i porwij  
spośród umarłych rzeczy, gdzie dojrzewa wieczór  
o woni morwy.  
Daj mi konia, o Agni, z żółtych, strasznych płomieni  
i białych,  
bo oto spadam – owoc w grób ziemi pod sobą  
dojrzały.

*3 grudzień 1940 r.*

## **Żal**

Pościnano drzewa światowidom,  
ścięto głowy buntom dziecięcym,  
bo nie przyjdą anioły z ptasich puchów, nie przyjdą.  
Oto nóż szafotów do chleba. Cóż więcej?

Zatroskane madonny mdleją;  
jakbyś podniósł ziemi upiorną powiekę,  
więc żal mi, żal, bo świat to żal  
za utraconym człowiekiem.

*II. 41 r.*

## Zwierciadło

Unosisz to wszystko. Gdzie ponad chmury uniesiesz?  
jak abecadło dzień narodzin powtarzasz wielokroć.  
Na drodze śliskie wikliny, domki szare, jest mokro,  
czy to zima, lato, jesień.  
Tyle wieków, a nie wyrosłeś  
ponad spojrzenie małe, nie mniejsze niż płacz i uśmiech.  
Nie ten to czas, kiedyś był do jaskółek posłem –  
to tylko oddech czasu: zbudzisz się, uśniesz, uśniesz.

Wyjdź, wyjdź pod niebo, wyjdź pod białą zamieć,  
zanim wrócisz w grób kamiennych miast.  
Tam ty:  
papierowy żołnierz,  
czekasz na urojony wystrzał  
stojąc w nieustannej ulewie gwiazd.

*II. 41 r*



\* \* \*

## **Mamie – Krzysztof**

Sny dziecinne pachniały wanilią.  
Jak oderwać to życie od trwogi?  
Te dni jak małe bożki w oliwkowym lesie —  
– wyrosły z nich dorosłe wilki i ogień  
opalił sosny strzelistych uniesień.

Takie to dzieje, matko. Boli wiatru kolec  
wbity w dwudziestą jesień, kiedy umiem  
już najtrudniejsze słowa. Na pękniętym stole  
umierają kwiaty – suche deski trumien.  
Dusi las zdarzeń przerosłych. Nic więcej.  
Matko,  
jeszcze jednym uśmiechem sprzed lat dwudziestu  
przywróć mi wzrok dla świata  
dziecięcy.

*dn. 26 października 40 r.*

## Okręty zimowe

Moje okręty samotne, żalosne jak psy zgubione,  
aniście ptaki, ani obłoki spłowiałe.  
Na rufach waszych postaci tkane z białych koronek.

Aniście gwiazdy, ani zwierzęta małe.  
Kto by was dojrzał w czarnych kwadrygach zawiei,  
gdzie tylko miasta stoją ukośne i drżą,  
gdy tak spokojnie wpływacie w niebo, co tak się chwieje  
jakby kołyska wybudowana cichym łzom.

Przez wszystkie zimy płyniecie ciszej niż ogień,  
olinowane cienką rozpaczą nitek pajęczych.  
Aniście ptaki, ani obłoki ze snów najciemniejszych,  
bo nieporadnie stojąc przed płótnem wyblakłej drogi,  
namalowałem w głębi perspektyw płonący, ósmy kolor  
tęczy.

*dn. 16. 11. 41 r*

## Miserere

1

Oto stoimy nad ziemią tragiczną.  
Pobojowisko dymi odwarem strzaskanych wspomnień  
i snów.

Lepkimi krwią pytaniami  
zdejmujemy hełmy przyrosłe do głów.  
Głowy – czerwone róże przypniemy hełmom pokoleń.  
Widzę: czas przerosły kitami dymów,  
widzę czas: akropol zarosły puszciami traw.  
Rzuć się, ostatni kainie, na ostatniego abla,  
dław!

2

Wracając z pogrzebu ostatniego człowieka,  
jak wyzwanie  
rzucam przygarść powietrzną – skowronka – w niebo  
i ziemię ronię jak łzę nad wszechświatem.

*40 r., wiosna*

## Śnieg

Bóg jest śniegiem, on ziemię połączy  
z niebem na kształt liści milczących,  
które z drzewa ostatecznych zamilczeń  
szczerzą oczy – pół-boskie, pół-wilcze.  
Bo tak świecić jak on – ciemnością,  
tworzyć razem błędzenie i kościół –  
jest nie znane. Tylko ci, co najdalej –  
w kręgach białych jego twarz poznali.

\*

Jesteś w śniegu, a śnieg oburącz  
ogarnąwszy – co w nim zobaczysz,  
dotykalne spadnie ciała kulą  
i żywymi oczami zapłacze.  
Ty w nim ręki skinieniem drążąc,  
różowawe ciała kobiet wywołasz,  
róg danieli, ptaki jak mosiądz  
szybujące w gotyckich kościołach.  
I pomników zamyślenie wieczne,  
kanonierów o lawety wspartych,  
których dawno śnieg wchłonał i przestrzeń,  
pokolenia idące, a martwe;  
a gdy urny ziemi zadymią,  
będą śniegiem bez legend i imion.

\*

Taki w blasku niby, a w ciemności  
stojąc, płynąc – nie znasz odległości,  
bo, co w tobie – za tobą dąży,  
co najdalej – to łoża draży,  
w głąb spojrzenia, a ziemia w tobie  
mrze w kolebce, zaczyna się w grobie.  
Ziemię pocznij – odpowie obłokiem,  
pocznij śniegiem – ziemią odpowie.  
Więc ty w gwieździe się pocznij wysokiej,  
przyjdź człowiekiem i sznurami owiec,  
przejdź morzami jak syn człowieczy,  
zgiń piorunem i wrzawą mieczy. —  
– Wieczny będziesz – czy się zmienisz w słowo,  
czy w grobowce, czy w zielony owoc.

## K u l i g

Tobie cóż jeszcze? Sań ptaszęcy trzepot  
z miast kamiennych nawet wyfrunie,  
bo wiosłując ramionami przez niebo  
zacznieś w ciszy, skończysz w piorunie.  
Może ptaki, nie liście,  
może sen,  
może dzieci puszyste  
jak len;  
poprzez kręgi śniegowe prą  
w puklach blasku,  
w zamęcie rąk.  
To w mamutów galopie,  
w nagłych łyskach ich kłów,  
w lustrach zbudzić się przyjdzie czy w grobie,  
na łów gwiazd pędząc, miły, na gwiazd łów.  
Noce, dnie obok sanny prą,  
jędrne słońca i komet bąk;  
to w zdumienia, to w cienie snów,  
na łów gwiazd, towarzyszu, na łów.

\*

My, czy w gospodzie na dróg zakręgu,  
czy w ciemności staniemy na koniec?  
Przeżegnamy się drzewem? czy ręką?  
Staną gwiazdy parując jak konie.

I rozżarzą się polana w kominie –  
błękitnawe, purpurowe kolumny,  
a ten komin – wielki jak niebo,  
a te drwa jak płonące trumny –  
będą z wolna jak róże złote  
przekwitały, rozwijały płomienie,  
aż się staną jak niegdyś – potem,  
ludzką krwią i ludzkim kamieniem.

\*

I w szkielety czarne zapatrzeni  
powrócimy z powrotem do ziemi.  
Tylko śnieg, co jest Bóg i rzeczy płynność,  
co n a d ciszę i nad krew niewinną,

elementy spopielalo połączy  
z niebem – na kształt liści milczących.

*dn. 8. XII. 41 r.*

## Legenda

### I

Srebrny dwór stał, a sen nadymał  
puch jego rzeźb spokojnych i białych jak zima.  
Nocą czernił szczeliny i układał z gładów  
wiele przeobrażonych jak duchy obrazów,  
wiele snów, które zwinnie uskrzydłone biegły i  
tak się w noc zmieniały w jelenie ścian cegły,  
rzeźby w białe owady, co świszcząc leciały,  
powietrze w morze, a kolumny w skały,  
tak przemieniała noc, a w dzień o świcie  
każdy pielgrzym oglądał jakby sen w granicie  
kuty. Tak lotny zamek był jak pióra  
z lotek ptasich, a mocny jak piorunów góra.

### II

A mieszkał w nim nie człowiek – ten, którego baśnie  
zwał cesarzem, a żywe opowieści – Bogiem,  
i choć nikt go nie widział, każdy mógł wyjaśnić  
z mieszkańców tej krainy pod zamkiem, że ogień  
albo skrzydło jest jemu podobne, a inni  
nazywali go burzą w jakimś gromów hymnie,  
a inni: snów doznaniem, inni nieistnieniem  
albo karą i sądem, albo zapomnieniem.  
I każdy widział Pana, każdy na przysiedze  
mógł głowę kłaść pod topór jak rękę na księdze,  
i każdy widział Pana i znał go nie lepiej  
niż byle gwiazdę, choć go co dzień w chlebie  
pożywał i wykrawał znak na nim, krzyż albo  
półksiężyc, albo herby. Nieświadomą chwałką  
pożywał go i nie znał, a powiadał wiele,  
i tak byli ci wszyscy jakoby chrzciciele,  
którzy chrzcząc w imię swoje, nazywali rzeczy  
imieniem smutnym jak każde człowiecze.

### III

#### C h ó r :

A nie nazwę ja brzegu ni zamku,  
a nie nazwę wołania, co we mnie,  
bo za chmurą jest chmura, a za nią  
szeleszczący rozwija się wszechświat,

za nim chmura, a za nim wołanie,  
za nim jeszcze się warstwa rozwija  
i co nazwę, to chmura wymija,  
a co wezwę, to jeszcze znaczenie,  
które imion ni słowa nie znaczy,  
które jest jak majestat przebaczeń.  
I nie nazwę. Za chmurą znów chmura,  
za nią sen, ni to śpiew, ni to pióra,  
i nie nazwę ja brzegu ni zamku,  
nim się drogi poza mną nie zamkną.

#### IV

A miał Pan synów trzech – jak to bywa  
w baśniach – każdy się człowiek nazywał,  
każdy imię to samo nosił.  
I zawołał Pan synów trzech – jak to bywa  
w baśniach – i rzekł: „Ja nazywać  
ani imion nie będę wam głosił.  
Poślę was – jak to [w] baśni, w legendzie —  
w ziemię, w morza żelazne i wszędzie,  
gdzie się kształt staje twardy. Na ziemi  
każdy w imię się swoje zamieni”.

#### V

I schodzili powoli, a gwiazdy szumiały  
deszczami krwi zielonej, ulewami chwały  
i czuł każdy, jak w korze, gdy drzewo się wzniesie,  
że jest sam, choć jak drzewo w lesie.  
I czuł każdy poczynanie się mitu  
i żelaza, i złota, granitu,  
i choć z zamku, co z piór się zdawał,  
każdy czuł, jak się ziemią stawał,  
jak mu cień rośnie w stopach i wola,  
jak wyrasta rośliną na polach,  
jak mu morze nazywa się matką,  
jak uściśnie powierzchnię gładką  
i odbije dojrzałego syna,  
dla którego jest ciała – przyczyna.  
I nim się stali dopełnieniem ruchu,  
zapomnieli ust i ojca stów,  
i tak byli trzygłos ducha,  
który nagi wybiega na łów.

I tak byli. Tak poszli, poznali,  
tak się w czynie jak w dzbanie ustali,  
jakby woda kryształowa w dzbanie,  
której dzban jest przez twardość – poznaniem.



## VI

### C h ó r :

Nie oświecisz. Kto wybiegł – nie wraca,  
tak nazywa cię snem albo orłem,  
tak piorunem albo i spokojem,  
nie pamięta, kto wybiegł – nie wraca.

Nim oświecisz. Nie zrozumieć za słowem  
ukrywanych elementów walnych  
i żelaznych bram, i snów otwartych  
i tak kamień przeczuwa cię martwy

i nie nazwie cię, o ile czuje,  
i nie wezwie, jeśli ciebie pozna.  
Oto ciało, nad nim noc kołuje,  
noc zamknięta na słowo, noc mroźna.

## VII

Jechał pierwszy syn na koniu  
pod jaworem, pod jabłonią,  
słaby był i dzieckiem jechał  
przez pomniki miast.

Słały gwiazdy noc jak liść.  
Gdzie mu było puszcza iść?  
tam zwierzęca wełna w grozie  
nosi w krwawych pyskach noże,  
tam pioruny w huku burz,  
jakby tędy słabość niósł?  
Więc nawrócił w kłęby miast,  
gdzie talary białych gwiazd  
na śnie ludzkim leżąc warczą  
jakby psy.  
Wtedy śnią się złe komnaty, pełne złota  
krwawe szaty,  
wtedy śni się złota brzęk,  
ostrzy nóż i cierpki lęk.

## Wspomnienie

Kraju, kraju ujrzany przez zielone szkło.  
Szare osiołki płyną jak łzy zarosłym dnem wspomnienia.  
Te krajobrazy, nim spadną, wiszą na rzęsach i drżą.  
Szare osiołki płyną jak łzy – zarosłym dnem wspomnienia.  
Miniaturowe domki, dalekie o całe powietrze,  
o tabun dni i obłoków, dalekie o czyjąś śmierć.  
Płyną przeze mnie osiołki zarosłym dnem wspomnienia  
i rosną we mnie lata jak czarna, zjeżona sierść.

*luty 41 r.*

## Świat sen

Smutny, jaki smutny człowiek uśpiony w zdarzeniach,  
w zdarzeniach prawdziwych.  
Jakbyś kreślił kółko na piasku, a w dębów cienie  
jak w rzeczywiste zamki kolorowe powprawiał szyby.

Tak sobie nieroztropnie – niby przypominasz  
dziecięce twierdze z piasku.  
Uwierzyć łatwo: żyjesz tam,  
a teraz śniesz tylko  
oślepiający sen piorunów, krzywdy i blasku.

Jakże spokojnie,  
choć upłynął dwudziesty rok,  
nie wierzyć w rzeki ognia, przez wiatr unoszonych ludzi,  
tonąc po brzegi spojrzenia w rzeczywistość.

Ale ja się obudzę, ale ja się obudzę.

*luty 41 r.*

## Elegia o genezie

O edenie bez ew i adamów,  
rozpięty w czasie zaprzeszłym.  
Na płonących czuprynach cyklonów  
gdzie ponosisz gwiazdy i pieśni?  
Oto senny widnokraż wyszepcze  
zwierzęta wielkie jak orkan.  
Chodząc ziemią najstarszą depczę  
po epokach, po krzemiennych toporkach.  
W iluminacji błękitnych słot  
napłynię zieleń jak zieleń przed gradem  
i potoczą się kule puszyste jak kot,  
rzeki zielonozłoty gadów.  
Dzwonią obłoki ptasie, ogromne cienie skrzydeł,  
i jak fajki gigantów wulkany dymią i gasną.  
Jak w wyjących smugach kominów  
rodzę snów kolorową jasność?  
Przez samotność zaułków słyszę  
te ok[r]esy dudniące jak konie.  
Teraz tylko nocami dzwoni  
w pomniejszonym spojrzeniu kosmos  
ponad nieba spalonym krzyżem,  
w którym gwiazdy już nawet nie rosną.

*marzec 1941 r.*

## Sur le pont d'Avignon

Ten wiersz jest żyłą słoneczną na ścianie  
jak fotografia wszystkich wiosen.  
Kantyczki deszczu wam przyniosę —  
wyblakłe nutki w nieba dzwon  
jak wody wiatrem oddychanie.  
Tańczą panowie niewidzialni  
„na moście w Awinion”.  
Zielone, staroświeckie granie  
jak anemiczne pączki ciszy.  
Odetchnij drzewem, to usłyszysz  
jak promień – naprężony ton,  
jak na najcieńszej wiatru gamie  
tańczą liściaste suknie panien  
„na moście w Awinion”.  
W drzewach, w zielonych okien ramie  
przez widma miast – srebrzysty gotyk.  
Wirują ptaki płowozłote  
jak lutnie, co uciekły z rąk.  
W lasach zielonych – białe łanie  
uchodzą w coraz cichszy taniec.  
Tańczą panowie, tańczą panie  
„na moście w Awinion”.

*szpital, kwiecień 41 r.*

## Harmonia Beethovena

Najpierw konie żałobne piętrzyły się do chmur  
unosząc przyłbice miast i gwiazd zielone struny,  
zastygając w pomnik ukośny, w pochylony szturm,  
aż krzyczało zewsząd, że runą.

Grzmiał wiatr, a posągi miały twarze obcych,  
coraz więcej ich było: cesarów, poetów, burłaków,  
gdy nagle przemienione w płowowłosych chłopców  
szły przez noc zamyślonych ptaków.

Jeszcze katedry groźnej fugi,  
gdzie z dzwonu słońca zwisał sznur do ziemi,  
jak spokój długi.

Jeszcze szedł olbrzym przez niebotyczną drogę,  
nad łagodny polot wsi,  
niosąc w ręce ogromnej błękitny ogień.

Obudzony: jakże uwierzysz, żeś śnił?

*16 maj 41 r.*

## Ballada o rzece

Rzeka pachnie jak ryba.  
Ryba jest liściem deszczu  
oderwanym od białej gałęzi szelestu,  
od zbuntowanych okrętów chmur —  
A wyginane rybitwy  
złożone do wiotkiej modlitwy  
ciągną niebem błyszczący jak brzeszczot,  
omotujący ciasno sznur.  
Rzeka się w niebie odbija  
czy niebo rzekę wymija  
tocząc kuliste chmury na drugi brzeg?

Brzeg odległy o bulgot —  
— stoisz w słońcu wykuta,  
wijesz z muszli zielonej  
piosnkę na cztery nuty.  
Stoisz w łusce i płoniesz,  
w ciszy martwej jak smutek  
tylko bieli się po niej  
piosnka na cztery nuty.

Dokąd idę? po płaskim lustrze  
czy po niebie głową w dół?  
Rozcinają się sny upalne  
nożem fali ostro na pół.  
Dokąd idę? czy brzeg się zbliżył,  
czy opadłem w obłok wyżej,  
czy w ślimaczy, po ustach ciągnący się muł?  
Stoisz w niebie, na brzegu czy w lustrze?  
Słońce zewsząd zapala się w łusce.  
Płynę w lejach — szklisty wodnik.  
Rzeka pachnie jak ryba.  
W porcie prąd się urywa.  
Płynę wodą, piorunem czy błyskiem pochodni  
— trup o oczach jak obłok zastygły?

*lipiec 41 r.*

\* \* \*

Spełnia się brzemień kataklicznych nocy  
jak niebo odwalanych z ramion ludzi ostatnich.  
Próżno bije woźnica; batem już nie zatnie  
wynędzniałych rumaków oczu.

Ze ścian jaskiń schodzą dawne rysunki,  
ich kontury białe – po nocy błędząc – drżą.  
Nie są już płaczem ani dudniącym buntem,  
są podobne wszystkich epok – postępu snom.

A przyjaciele moi – to tylko przedmioty,  
potrzaskane posążki i wazy ozdobne  
lub groby powleczone fałszowanym złotem  
z wszystkich czasów – jedne drugim – jak ręce podobne.

Gruzy jak kości rozrąbane dymią.  
Ciagną związane w supły pochody dnem dolin –  
— niosą maleńkie cienie jak mrówki bez imion  
kamień pod nowy babilon niewoli.

*dn. 13. IX. 41 r.*



## Noc samobójcza

Ta noc bez pożegnania, noc bez gwiazd, noc bez ruchu.  
Długo mi wiatr histeryczny tłumaczył epilog najprostszy,  
aż oto śmierć dzisiejszą ciężko bijąc ukłął.  
Jestem bezradny jak motyl, motyl nabity na ostrze.

Rzeka: przez okno widać, stanęła i czeka.  
Przez okno widać miasta nasunięty witraż.  
Na wierszach ślady krwi. Nie przeczytasz  
przeżytych epopoi. Nie zobaczysz ani jednego człowieka.

Odpływam nocą najstraszniejszą, a dokąd —  
– już wszystko jedno.  
Oczy zamkną odwroty w życie jak drzwi,  
ręce jak drewno, ręce jak drewno, ręce jak drewno.

Już spod nóg stoczył się świat  
wąskim strumykiem krwi  
i tylko czarne szkielety mebli płynąc ode mnie wokoło  
stoją

a jutro rano jak dziś:  
przyjdą na okno małe wróble  
i nie spłoszone obejrzą śmierć zastygłą w moim pokoju.

*3 październik 40 r.*

## Teologia

To ty ciosami piorunów huczałeś  
w kowadła zdrętwiałych źrenic,  
że czaszki dla lęku były za małe,  
a serca za wielkie dla ziemi.

To ty ciskałeś z dłoni jak orkan  
kule ogniste na krągły strop,  
a w drogi ludzkie sny i ruiny  
dymiące jak twój świeży trop.

I zastygłeś w pogromów zgiełk  
pośród wędrówek głuchych pokoleń,  
aż osaczony lufami szkieł  
stanąłeś kroplą wody na stole.

Czymże ty jesteś, gdy w świetle przygasł  
ogień zodiaków sypanych z góry,  
a natarczywy ciągle napływasz  
w szkiełka – tętniącym jądrem komórek?

*październik [41 r]*

## Jesienny spacer poetów

*Jerzemu K. W.*

Drzewa jak rude łby barbarzyńców  
wnikały w żyły żółtych rzek.  
Biało się kładł popiołem tynku  
wtopiony w wodę miasta brzeg.

Szli po dudniącym moście kroków  
jak po krawędzi z kruchego szkła,  
pod zamyślonym grobem obłoków,  
po liściach jak po krwawych łzach.

I mówił pierwszy: „Oto jest pieśń,  
która uderza w firmament powiek”.  
A drugi mówił: „Nie, to jest śmierć,  
którą przeczułem w zielonym słowie”

*październik 41 r.*

## Jesień 41 r.

A kiedy okręt walczył – siedziałem na maszcie,  
kiedy tonał – z okrętem poszedłem pod wodę.

Słowacki: Testament mój

Gdy ciało się dopali, pozostaną oczy —  
gwoździe na wieku z hebanowych chmur.  
Wyjdzie dzwonnik – zmarszczony jak jesienna ziemia,  
długie nogi wisielców pociągnie jak sznur.

I grom się stoczy z nieba jak jabłko, a deszcz  
jak stado kruków będzie rzekę szarpał,  
pęknie drzewo zielone – moja smutna harfa.  
Jak pies zawyje za mną wierna pieśń.

Wtedy weźcie pomniki i rzućcie jak kamień  
czasów martwych w dno nieba, w czarny marmur rzek  
i przymarzłe do pracy utnijcie mi ramię  
jak gałąź, aż wytryśnie z niej zieleń i krew.

Żeśmy w objęciach trupów spali, to już znacie  
śmierci profil zastygły i ostry jak nóż.  
Żeśmy po schodach szli z czarnych ciał braci,  
to weźcie szmatę ciała i rzućcie razem – w gruz.

A oczy mi wydrzyjcie i potoczcie dalej  
jak ołowiane kule – podpalcie nimi wiatr,  
by w czaszki nagie gwizdał – i niech tak się pali,  
aż serca wam spopieli – i wyjmie z nich świat.

*październik 1941 r.*

## **Dzieci na mrozie**

To śnieg tak futrem ciszy osłupienie okrył,  
aż zagaśli ślady naprzód i wstecz.  
Dzieci skostniałe rączki kładą na ustach mokrych,  
by nie wypadł z nich ognisty miecz.  
Bo dzieci są cierpliwe – przykute do murów,  
ścięte mrozem w szkło białe, ściskają kreski ust,  
by nie wypadły z nich czerwone bąble bólu,  
celne jak grom i ostry nóż.  
I dzieci są cierpliwe, lecz gdy tkniesz  
przemarzłe, przemienione w szkło,  
to się rozsypią, tryśnie krew  
i drgnie obłoków głuchy dzwon.

Prysną filary. Zastygli w kościołach,  
w modlitwę lodowatą wsparci chłodem czół,  
zobaczcie, jak się ziemia otwiera pod kołem  
wydartym z ust i miasto tnie – na pół.  
Wsparci w brzeg życia jak w kieliszków brzeg,  
świsną w głąb ognia zastygli w kamienie  
i wtedy będzie noc – w ogień-wstąpienie,

a na to grzmot kół z ognia,  
a na to – tylko – śnieg.

*dn. 8 listopada 41 r.*

## Magia

Dym układa się w gryfy, postaci i konie  
nad rozlewany ogniem, a on czesząc grzywy  
żółtych płomieni woła: „Przez gwiazdy zielone  
zaklinam cię, demonie, Aharbalu – przybądź!”

Wtedy przez pustą ramę portretu wychodzi  
duch ogromny szeleszcząc od niebieskich iskier  
i staje u pułapu jak wstrzymany pocisk  
naprężonych obłoków, i unosi wszystkie  
rozlane dymy w sobie. Wtedy on zbiegały,  
porywany przez ciszę, trojony przez cienie,  
„Aharbalu – zaklina – przez ten dym stężały,  
Aharbalu – zaklina – przynieś jej wspomnienie!”

Więc w suchym blasku iskier rośnie łuk różowy  
piersi wygiętych twardo, ust rozwartych koncha,  
podłużne liście powiek. Wtedy z jego głowy  
odrzuconej w odległość wypływają oczy  
jakby łyzy, w których widać odwrócony obraz  
coraz mniejszy; i płacze: „O, siostró niedobra!”  
a już ona jak kamień – rozpuszcza się w nocy.

*15 października 1941 r.*

## Przypowieść

Matce

Pan Bóg uśmiechnął się i wtedy powstała ziemia,  
podobna do jabłka złotego i do zwierciadła przemian.

Po niej powoli się sączą zwierząt dojrzałe krople  
wstępując z wód w powietrza – drgające srebrem —

stopnie.

A śpiew najcichszego z ptaków zamienia się w miękki

obłok

i wtedy powstają chmury do ziemi i gwiazd podobne.

Więc knieje do mórz przychodzą i kładą włosy na wodę

i wtedy fale się barwią na kolor dojrzałej jagody.

Światło przenika do ziemi, a ziemia blask przygarnia;

bory wrastają w powietrze, powietrze od lasów – czarne.

Zwierzęta wnikają w korę, a kora porasta życie

i niewidzialne, w przestrzeni, wiruje ziemi odbicie.

Wtedy są wszystkie kolory, każdy od innych różny,

które są wszystkie te same pod szklaną kopułą próżni.

I zafrasował się Bóg, że sam swych dzieł nie ogarnie,

więc cisza złożyła się w fałdy, a światło stało się czarne

i z ciężkich kowadeł gór rosły lodygi ogniste,

a gromy w wysiłku kuły zmarszczone w groźnym namyśle,

aż się wykrzesał z kuźni pod niebo od huku białe

z chmur i ziemi ulany – człowiek ciemny i mały.

Teraz uśmiechnął się Bóg i we śnie znużony oniemiał,

i do dziś błądzi wśród grozy człowiek ciemny jak ziemia.

*dn. 14. XI. 1941 r.*

## **Ballada zimowa**

Chmura z miedzi uderza,  
blaskiem bije w puklerzach,  
jeśli puklerz – to oczy z ołowiu.

W lasach siwych od błysków  
jak znużenia kołyską  
wracał rycerz z puszystych łowów.

A od śniegu – wraz z koniem –  
był jak chmura jabłoni  
huraganem niesiona przez zamieć.

I tak w pędzie zastygli,  
że na mróz jak na igłę  
wbici – z wolna zmieniali się w kamień.

Wtedy knieje srebrzyste  
promień przeciął ze świstem,  
droga przeszła w niebieską równinę.

Złote chleby i ręce  
jak w dzieciństwa piosence  
niosła matka na witanie z synem.

*(Zima 41 r.)*



## **Pokolenie**

Do palców przymarzły struny  
z cienkiego krzyku roślin.  
Tak się dorasta do trumny,  
jakeśmy w czasie dorośli.

Stały rzeki ognia  
ścięte krą purpurową;  
po nocach sen jak pochodnia  
straszy obcięta głową.

Czegóż ty jeszcze? W mrozie  
świat jest jak z trocin sypki.  
Oczu stężały orzech.  
To śnieg, to nie serce tak skrzypi.

Każdy – kolumną jesteś,  
na grobie pieśni własnych  
zamarzły. Czegóż ty jeszcze?  
To śmierć – to nie włosy blasku.

To soli kulki z nieba?  
Czy łyżki w krzemień twarzy tak wrosły?  
Czy ziemia tak bólem dojrzeła,  
jakeśmy w czasie dorośli?

*listopad 1941 r.            (Zima 41 r.)*

## Elegia

Mokre gałęzie świerków  
przywala pierś woskową.  
Przechodzili, przechodzili, nieśli  
za oknami piosenki wojskowe.

Zegar wgarnął wspomnienie  
i górą czasu skamieniał.  
Przechodzili za oknem, płakali;  
po grudzie dzwoniły cienie.

A teraz jakże ująć  
strzaskane snów kryształki?  
Noc w oczach stygnie – chmurą.  
Piorun – w twój gromnik z zapalaki.

Jeśli testament – to z liści,  
a pomnik jeśli – z płomienia.

Szli w dymu smukłej pieśni,  
gałęzie mokre nieśli.

*15. XI. 41 r.      (Zima 41 r.)*

## **Bez imienia**

Oto jest chwila bez imienia:  
drzwi się wydeły i zgasły.  
Nie odróżnisz postaci w cieniach,  
w huku jak w ogniu jasnym.

Wtedy krzyk krótki zza ściany;  
wtedy w podłogę – skałą  
i ciemność płynie jak z rany,  
i w łoskot wozu – ciało.

Oto jest chwila bez imienia  
wypalona w czasie jak w hymnie.  
Nitką krwi jak struną – za wozem  
wypisuje na bruku swe imię.

*listopad, 15. XI. 41 r. (Zima 41 r.)*

## Drzewa

Drzewa – to chmur zgęszczenia,  
pod nimi dzwoni ziemia,  
nad nami rwą wezbrane  
planety z brązu lane.

Lasy – smutku zielone  
serca – w szmer przemienione,  
pod nimi piły lament  
białymi jęczy kłami.

Drzewa – bawoły złote  
dymiły rudym potem,  
z pomrukiem ciała kładły  
ku ziemi, aż upadły.

Drwale w śmiechu sypali  
zęby jak sznur koralu.  
To piłą – ciszy przytą,  
to śmiechu białą brzytwą.

Liście jak oczy wydrą  
lśniące zieloną krzywda,  
to korę ciemną z ciała,  
aż tryśnie krew dojrzała.

A nocą w sen zagięci –  
– w warczący wir pamięci —  
zobaczą drwale w lęku,  
przykuci nocy ręką,  
idące na nich  
topory sosen ostre.

*22 listopad 41 r.*

## Z szopką

Górami białe konie przeszły,  
trop dymiący w kłębach stanął,  
w gwiazdach płonąc cicho trzeszczy  
wigilijne siano.

Spoza gór czy sponad ziemi  
anioł biały? kruchy mróz?  
starcy w niebo nachyleni?  
Anioł biały szopkę niósł.

\*

Zamknąć tak – to ironicznie –  
w daszek gwiazdom pobielany,  
płomień wieków i człowieka  
w tekturowe cztery ściany.  
Zamknąć tak – to z odległości –  
w dwie figurki – czarną, białą,  
rozdeptanych epok kości  
i spalone żądzą ciało.

\*

W naprężone kusze burz  
anioł biały – szopkę niósł.

\*

A figurki w męce gasnąc  
coraz słabły, zanikały  
w napowietrzną gwiazdy jasność,  
tekturowo – popielaty.  
Śmiał się anioł półuśmiechem  
z ich uporu, a nie grzechu,  
że tak jedni – choć ich stu.

\*

Anioł biały szopkę niósł.

\*

Aż na grudzie stopą lekką  
stanął niby mgłą i skałą  
i koślawe, głodem ścięte  
ujrzał w grudę wbite – ciało,  
żeber czarnych łuki, spięte,

poskręcane rydle rąk,  
brzuch jak bęben życia – wzdęty,  
brzuch zsiniały, brzuch jak tłok,  
i zawrócił. W nieba plusk  
poczerniałą szopkę niósł.

*2. XII. 41 r.*

## Kolęda

Aniołowie, aniołowie biali,  
na coście to tak u żłobka czekali,  
po coście tak skrzydełkami trzepocząc  
płatki śniegu rozsypali czarną nocą?

\*

Czyście blaskiem drogę chcieli zmylić  
tym przeklętym, co krwią ręce zbrudzili?  
Czyście kwiaty, srebrne liście posiali  
na mogiłach tych rycerzy ze stali,  
na mogiłach tych rycerzy pochodów,  
co od bata poginęli i głodu?

\*

Ciemne noce, aniołowie, w naszej ziemi,  
ciemne gwiazdy i śnieg ciemny, i miłość,  
i pod tymi obłokami ciemnymi  
nasze serce w ciemność się zmieniło.

\*

Aniołowie, aniołowie biali,  
o! przyświećcie blaskiem skrzydeł swoich,  
by do Pana trafił ten zgubiony  
i ten, co się oczu podnieść boi,  
i ten, który bez nadziei czeka,  
i ten rycerz w rozszarpanej zbroi,  
by jak człowiek szedł do Boga-Człowieka,  
aniołowie, aniołowie biali.

## Psalm 4

Boże mój. Ja przed Tobą  
ołtarz ciała rozdarty.  
Ja – jednym sumieniem rodzony,  
dymię tysiącem martwych.

Nie tłumacz mi ptaków i roślin,  
ja z nich poczęty – rozumiem,  
tylko się krzywdy nauczyć  
i ludzi się uczyć nie umiem.

Ja już spokojny. Ześlij  
ulewy głów obciętych,  
strąć nieba płaską dłoń,  
Ty ze wszystkiego – święty.

Ale mi czyny wytłumacz,  
ziemi ziejący orkan,  
bo nic, że po klęsce jej depczę  
jak po krzemiennych toporkach  
ludzi, co nigdy nie rosnąc,  
o ściany jaskiń miecz ostrzą.

Ale wytłumacz mi tych,  
co niewiedzący – u ciemnych wód  
są spopielale krzyżyki czarne  
nie odegranych nigdy nut.

*31. XII. 41 r.- 1. I. 42 r.*



## Śnieg

Ileż dziś skrzydeł ptasich spadło i zgasło,  
jakbyś sam w anielski ich trzepot się dostał?  
Rzeźbi cisza spokojny gotyk – blanki, miasto  
na maleńkich wieżach ostów.  
Płacz, płacz w rozdwojone wrota snów:  
po obłoki zasypany w spokój.  
Jak po szeregach głów,  
po głowach zasypanych,  
po stopniach zamarzłych powietrza wstępujesz najwyżej,  
w glorię marmurowych obłoków.

*41. r.*

## Ciało

Czyny kalekie zmienione w rzeczy  
rosną milczeniem pod niebem płaskim,  
które zgaszone jest trupim blaskiem  
pod nim stygnącej sprawy człowieczej.

Czyny, spomiędzy których nikt jasny,  
bo nieświadome ze sobą wloką  
ruchy straszliwe martwej powłoki  
w strumieniu światła mijanej gwiazdy,  
z których najmniejszy ciągnie za sobą  
ziemię jak krzywdy dojrzałej owoc.

A w uciszonym nagłym namysłem  
jest jak huczenie rzeki upiorów,  
na której płynąc jest, jakby wszystkie  
czyny spadały przezeń toporem.

I milczy w grozie, gdy ciało z niemi  
ślepe za zbrodnią idzie do ziemi.

*22. XII. 41 r.*

## Wyroki

Basi D.

Nic gruzy. Dwułodygą wyrośnięm,  
dwugłosem zielonym światła,  
podobni chmurom i sośnie,  
kwiatom płynącym na tratwach,  
gdy rzeka wilgocią śliska  
jest tonem świata – kołyska.

Nic ciemność. Przez nią przepłynięm,  
a ręce na niej – promień  
w błogosławionym czynie,  
w żyjącym gromie,  
bo i z krzemienia się śpiewa  
wieczność rosnąca – drzewa.

Nic gruzy. Ale ująć  
powietrze: tam formy rosna  
z guseł i zakłęć – kołując –  
coraz to bliższe. Mocno  
w ręce spadają – nieznane,  
czasem – niedokonane.

I tak się trzeba im zaprzeć  
w ziemię i wiatr, w świetlistość,  
by deszczem pocisków lecąc  
opadły w dłonie – czysto.  
A w ich ulewie rosnać  
ptakiem, człowiekiem i sosną.

*dn. 28. XII. 41 r.*

## Kołysanka

Nie bój się nocy – ona zamyka  
drzewa lecące i ptasie tony  
w niedostrzegalnych, mrocznych muzykach,  
w przestrzeni kute – złote demony,  
które fosforem sypiąc wśród blasku  
wznoszą się białe, modre, różowe,  
wznoszą się w lejach żółtego piasku,  
w chmurach rzeźbione unoszą głowy.  
Nie bój się nocy. Jej puchu strzegą  
krople kosmosu, tabuny zwierząt;  
oczy w nią otwórz, wtedy pod dłonią  
uczujesz ptaki i ciche konie,  
zrozumiesz kształty, które nie znane  
przez ciebie idąc – tobą się staną.

Nie bój się nocy. To ja nią wiodę  
ten strumień żywy przeobrażenia,  
duchy świecące, zwierząt pochody,  
które zaklinam kształów imieniem.

Ułóż wezbrane oczy w kołysce,  
ciało na skrzydłach jasnych demonów,  
wtedy przepłyniesz we mnie jak listek  
opadły w ciepły tygrysi pomruk.

*21. XII. 41 r.*

## **Biała magia**

Stojąc przed lustrem ciszy  
Barbara z rękami u włosów  
nalewa w szklane ciało  
srebrne kropelki głosu.

I wtedy jak dzban – światłem  
zapełnia się i szkląca  
przejmuje w siebie gwiazdy  
i biały pył miesiąca.

Przez ciała drżący pryzmat  
w muzyce białych iskier  
łasice się prześlizną  
jak snu puszyste listki.

Oszronią się w nim niedźwiedzie,  
jasne od gwiazd polarnych,  
i myszy się strumień przewiedzie  
płynąc lawiną gwarną.

Aż napełniona mlecznie,  
w sen się powoli zapadnie,  
a czas melodyjnie osiadzie  
kaskadą blasku na dnie.

Więc ma Barbara srebrne  
ciało. W nim przeży się miękko  
biała łasica milczenia  
pod niewidzialną ręką.

*4. I. 42 r., 3 w nocy*

## Rzeczy niepokój

Basi

Nie wiem nic. Jest wokoło ten rzeczy niepokój,  
który rzeki przesyca i morza obłoków,  
który jest sam przez siebie, a ja ponad którym  
jestem jak smutne dziecko przenoszące góry.

I nie wiesz nic, i możesz ręce jeszcze  
zanurzyć w płynność rzeczy i rzeczy niepokój.  
Bo jest w tym jak w tworzeniu z marmuru drzew żywych  
(które się same ciosają pod ręką)  
coś jak nieuchwycenie w locie złotej grzywy,  
jak opadanie – smutne i jak ziemia – piękne.  
Jak ziemia, bo ta w trwodze najdalszej wywoła  
– i w grobach – jakąś smukłość anielską kościoła.  
Więc idź, chociażbyś wiedział, że zmierzasz do grobu,  
bo nie w tobie jest trwoga, ale ty przez trwogę.  
Bo to nie żądzą wzrasta, ale zapatrzeniem,  
jak wierzyby, które rosnąc w wodzie, rosną – cieniem.

Wtedy ziemia się skurczy, aż za wąska stopom  
będzie chmura – na przekór arkom i potopom.

Tylko ludzie znad trawy – jak krowy – spojrzenie  
zwrócą w niepokój rzeczy, w to, co zapatrzenie,  
i przez swoją osobność, w to, co gromem śniło,  
powiedzą nierozważnie i osobno: miłość.

*dn. 12. XII. 41 r.*

## Pioseneczka

Kto mi odda moje zapatrzenie  
i mój cień, co za tobą odszedł?  
Ach, te dni jak zwierzęta mrucząc,  
jak rośliny są – coraz młodsze.

I niedługo już – tacy maleńcy,  
na łupinie z orzecha stojąc,  
popłyniemy porom na opak  
jak na przekór wodnym słojom.

Czerwień krwi dziecinnie się wyśni  
jako wzdęte policzki wiśni.

Metal burz się wywiedzie na nowo  
zapienioną dmuchawca głową.

A łez grzmot jak lawina kamieni  
w małe żuki zielone się zmieni

i tak w wodę się chyląc na przemian  
popłyniemy nieostrożnie w zapomnienie,  
tylko płakać będą na ziemi  
zostawione przez nas nasze cienie.

*16. l. 42 r.*

\* \* \*

Basi

ale ty jesteś drzewo  
R. M. Rilke

W każdej przemianie podobna kręgowi czasu,  
jak rok obracasz się stojąc i jeszcze stąd  
widzę cię na równinach, górach i grzywach lasów,  
w które światło nalewasz dzbanem splecionych rąk.  
I morzu podobna przenosisz odbicie wszystkich pogód,  
które płynęły i grały w mosiężne kotły chmur.  
Dłonią poruszysz – jest zima, uśmiechniesz się – to jesień  
ciernie uczyni z głógów wianiem miedzianych piór.  
W jabłkach dojrzewasz i zieleń wypełniasz żółtym sokiem.  
Uchwyć powietrze dłonią – to jesteś każdy krzew  
i każdy ptak na modrzewiu  
albo muzyki obłokiem  
i złotą struną drzew.

Ach, płoną drwa na kominach i sanie suną w puch,  
kot przeciągając się mruczy, wzdyma się w giętki łuk.  
Ty jesteś w rzece i w każdym ruchu odbity twój uśmiech.  
Obudź się śniegiem, polaną, zmień się w danieli róg,  
pod wieczór będziesz ciałem i w moim ciele uśniesz,  
a rano znów się obudzę, miną znużeni ludzie,  
znajdą na mojej piersi uśpiony biały głóg.

*11 luty 1942 r.*



\* \* \*

Ty jesteś moje imię i w kształcie, i w przyczynie,  
i moje dłuto lotne.

Ja jestem, zanim minie wiek na koniu-bezczynie,  
ptaków i chmur zielonych złotnik.

Ty jesteś we mnie jaskier w chmurze rzeźbiony blaskiem  
nad czyn samotny.

Ja z ciebie ulew piaskiem runo burz, co nie gaśnie,  
każdym życiem i śmiercią stokrotny.

Ty jesteś marmur żywy, przez który kształt mi przybył,  
kształt w wichurze o świetle widziany,  
który o mleczne szyby buchnął płomieniem grzywy  
i zastygł w dłoni jak z gwiazdy odlany.

I jesteś mi imię ruchów i poczynaniem słuchu,  
który pojmuje muzykę i sposób,  
który z ładu posuchy wszędzie żywicą-duchem  
w łodygę głosu.

*l. III. 42 r.*

## Erotyk

W potoku włosów twoich, w rzece ust,  
kniei jak wieczór – ciemnej  
wołanie nadaremne,  
daremny plusk.

Jeszcze w mroku owinę, tak jeszcze różą nocy  
i minie świat gałązką, strzępem albo gestem,  
potem niemo się stoczy,  
smugą przejdzie przez oczy  
i powiem: nie będąc – jestem.

Jeszcze tak w ciebie płynąc, niosąc cię tak odbitą  
w źrenicach lub u powiek zawisłą jak łzę,  
usłyszę w tobie morze delfinem srebrnie ryte,  
w muszli twojego ciała szumiące snem.

Albo w gaju, gdzie jesteś  
brzozą, białym powietrzem  
i mlekiem dnia, barbarzyńcą ogromnym,  
tysiąc wieków dźwigając  
trysnę szumem bugaju  
w gałęziach twoich – ptak.

Dedykacja:  
Jeden dzień – a na tęsknotę – wiek,  
jeden gest – a już orkanów pochód,  
jeden krok – a otoś tylko jest  
w każdy czas – duch czekający w prochu.

*Mojej najdroższej Basi – Krzysztof*

*dn. 2. II. 42 r.*

## Bohater

Motto:

Za to i rycerz nie lada gwałtownik,  
lecz ów, co czeka.

C. K. Norwid

On w wielości stoi pośród rzeczy,  
które rosną w potwornej przemianie,  
pośród roślin przezroczystych mieczy,  
pośród zwierząt, ludzi, a poznanie  
będzie obce mu, by trudniej było  
wielość formy połączyć w miłość.

Więc się mienić będą i brunatnieć  
w złotych formach dojrzałe oczy,  
to obłoki będą dnem się toczyć,  
dnem tych spojrzeń, by nie było łatwiej  
snów od ludzi, kamieni od rąk  
porozróżniać, a gradu od trąb.

A ten, który przeciw niemu zawoła  
o swej sile i wstrząśnie owadem  
wszechmałości – przejdzie w apostoła,  
przemartwiały swej słabości jadem,  
i ze strachu potęgę głoszący  
w pięści zmienić chce gwiazdy i słońce.

On w wielości stoi. Wśród kaskady  
tryskającej mleczem i tonami,  
a nie spadnie, choć poryty gradem,  
i nie wiedząc, gdzie koniec – nie skłamię.  
Ani w bojach zjednoczy się w ogień,  
ani w ludziach nie przystanie – z trwogi.

I nie wiedząc – choć otchłań zobaczy,  
i nie wierząc w wiarę, która depcze,  
czuciem światła łącząc przez powietrze  
tak gwiazdami i łzami zapłacze.  
Ręce prosto kładąc w tęczę tonu  
sklepi ziemię z niebem na kształt domu.  
Będzie człowiek w ludziach, zieleń w ziemi  
nad wiekami trwający ciemnymi.

28. I. 42 r.

## Wizerunek

Stać nieruchomy z gruzów,  
tak usta zaciskać skrzepte  
i oczu otworzyć ni zamknąć,  
gdy szyby drgające ciepła  
płyną mijając czas.

Stać jak pomnik, jak lew,  
który w kamieniu zamknięty  
ramiona przybite snem  
na niebie prostuje na próżno.

I pył osiada z wolna  
jak futro szare powietrza,  
nawet powiekom nakłada  
kaptury czarnych kwiatów.  
Stoisz u okna. Za oknem  
armaty dudniąc jada  
i w śmierci otwartym okiem  
mierzysz, jak będą głębokie  
otchłanie w dół.

Jak sięgnąć – step wypalony.  
Trawy szerniały mówią  
o tych pochodach i mówią,  
że w tryskającym powietrzu  
jest wypukłość i głębia,  
i lot przywiązany gołębia,  
i wolny jaskółek lot.

Wiesz, że cię tak postawiono,  
aby już szły bez końca  
przez ciebie czarne pochody  
spalonych jak węgiel ciał.

I wiesz, i po głosie umiesz  
twarze spalone zrozumieć,  
choć ani ust, ani oczu,  
ni ciała spocznienia nocą,  
ani rozprysły dom.

Takim różańcem, gdzie głowy  
są paciorkami modlitw,  
a krzyżem – krzyże nad grobem,  
głazem, czekaniem się modlisz —  
nad dniem nieostatnim snu.

I wtedy zieleń poczyna  
w małych pręcikach traw;  
widzisz, jak mrówcze ziarna  
sypią grobowiec czy dom.  
O! wtedy jesteś znów człowiek  
po śmierć zaprzędany snom,  
po śmierć pod kopułą powiek  
wznoszący na gruzach dom.

*12 luty 1942 r.*

## Rapsod o klęsce

Mija godzina, która nie na tarczy.  
Ciało zmienia się w popiół, a wzrok w ołów.  
Łez na powstanie z martwych nie starczy —  
— poznanie – koło.

To tylko ziemia gaśnie – kula pusta,  
na której Bóg rozdzielony tysiącem szatanów chodzi  
— tysiącem ludzi. Zieją kamienne lustra,  
barwa nie rodzi.

To z wysokości czy z grobu widziana  
urna spełnienia jest wzgórzem skorup.  
O drzewo! drzewo! czyś tylko trumną  
pod ruchów korą?

Tak się w pogardzie odosobniony  
przestaje czuwać w śnie i godzinie.  
Jeszcze ton przejdzie nie będąc tonem,  
przechodząc – minie.

Jeszcze łodygi zielone, co w tobie  
jak kolumnady pułapu rosły,  
są u zsiniałych mórz po potopie  
strzaskanym wiosłem.

Jeszcze łzy schodząc staną się gromem,  
co serc naczyńmiom grającym tobie  
rozbija obraz. Nigdy zielone,  
nigdy na grobie.

I nad żyjącym żadna przyczyna  
i żaden koniec. Popiół i droga,  
bo głosy klątwy w pogardzie wszczęte  
nie głosem Boga.

O drzewo! drzewo! mija godzina,  
a czas jej wiekiem.  
Drzewo przeklęte w nieznanym winach,  
jakżeś człowiekiem?

*dn. 14. II. 42 r.*

## Rycerz

W noc zjeżoną kwiatami martwego powietrza  
nie nasłuchuj, nie jadą rycerze  
w zbrojach blasku, w kaskach na wietrze  
rozwierających kity płomieni, a miecze  
obronie słabych – tylko w pochwach rdzawych  
albo zalane płaszczyznami śniegu,  
albo jak gwiazdy pogubione w biegu.

Witaj, a nie płacz mi. Ja zawsze senny,  
w nocy skrojony na kształt owych dawnych,  
idę w pochodach, w cieniach jak sam ciemnych  
i nigdy znaleziony, nigdy wiarą sławny,  
a tylko ręce wspieram o ten słup z przestrzeni.  
Gram. Jestem rycerz – Boga zamyślenie.

Ach, lądy jak pióropusz dymu ogień wzbija.  
Mijam morza rozległe jak błyszczące ryby.  
Gwiazdy spadają w ciszę. Psy przed domem wyją  
i złote deszcze iskier – jak żuki o szyby.  
I czegoż ja dostanę, czegoż pragnę jeszcze,  
zamarzły w lodem martwą, niebieskawą przestrzeń?

A szukają i złota, i chleba, szukają,  
choć jak krety korzeni, które w słońcu rosną  
kwiatami czy rudawą o zachodzie sosną,  
i zawsze kopiać tak – nad ziemię niedostają.  
I podkopując tak – są złej planety jękiem  
pod tym pułapem, co jest światła dźwiękiem.  
Ja wierząc tak w umarłych żywym obcowanie  
i poznając – do krzywdy przykładam miecz rdzawy,  
który jest krzywdzie miłość – rozpoznanie  
i jest jak pod stopami szatana – kłos trawy,  
a choć znam płomień zakłęcz jak piorun wśród ciszy,  
nie zawołam – w mór szumie nikt go nie usłyszy.

I tak przez ciało czekam, choć ognia potopy  
niby wojsk krwawych skrzydła ciągną czarnym stropem.  
I jestem. Czym ja jestem? wierzący przez małość –  
rycerz górz zapomnianych – w zmartwychwstałe ciało.

*dn. 21 lutego 1942 r.*

## Historia

Arkebuzy dymiące jeszcze widzę,  
jakby to wczoraj u głowic lont spłonął  
i kanonier jeszcze rękę trzymał,  
gdzie dziś wyrasta liść zielony.  
W błękicie powietrza jeszcze te miejsca puste,  
gdzie brak dłoni i rapierów śpiewu,  
gdzie teraz dzbany wrzące jak usta  
pełne, kipiące od gniewu.  
Ach, pułki kolorowe, kity u czaka,  
pożegnania wiotkie jak motyl świtu  
i rzesz trzepot, śpiew ptaka,  
pożegnalnego ptaka w ogrodzie.  
Nie to, że marzyć, bo marzyć krew,  
to krew ta sama spod kity czy hełmu.  
Czas tylko tak warczy jak lew  
przeciągając obłoków wełną.

Płacz, matko, kochanko, przebacz,  
bo nie anioł, nie anioł prowadzi.  
Wy te same drżące u nieba,  
wy te same róże sadzić jak głos  
na grobach przyjdziecie i dłonią  
odgarniecie wspomnienia i liście, jak włos  
siwiejący na płytach płaskich.  
Idą, idą pochody, dokąd idą,  
których prowadzi jak wygnańców łaski  
ład krążący po niebie. A może  
niebo po łądzie dmące piaskiem  
tak kształt ich zasypuje. Jak noże  
giną w chleb pogrążone – tak oni  
z wolna spływają. Piach ich pokrywa.

Jeszcze słyhać śpiew i rzenie koni.

*dn. 8. III. 42 r.*



\* \* \*

O miasto, miasto – Jeruzalem żalu,  
gdzie wsparte o kolumny – każde drzewo krzyżem  
nad cieniem mijającym jak cieniem koralu,  
który jak płomień niewidzialny lize  
stopy zwycięzców i tych, którzy leżąc  
pod płytą blasku, w cień blasku nie wierzą.

Miasto niewiary. Czym ty jesteś stojąc  
we wszystkich ziemiach, w ognisku i w boju,  
czymże ty jesteś i co niesiesz w sobie,  
że jesteś na człowieku jak wieniec na grobie  
i rodzisz tylko bezgłowe kamienie  
i sen, gdzie nie śniąc  
nie odwalone jesteś gromów brzemię  
i martwą pieśnią.

Sen, sen upiorów, gdzie na kwiatach leżą  
ludzie ciosem znużenia padli przed wieczerzą,  
ludzie u stołów pańskich siadający, którzy  
szable splatają w dole, a kwiaty na górze.  
Nic nie widzący, w nikogo wpatrzeni,  
wielcy na krzywdę ludzką, mali na cierpienie.

Upadający – przez ciało chcąc stanąć  
i żagwią wznieść pomniki, żagwią umaczaną  
w ciałach tych, co nie wierząc – nie wiedzą i proszą  
i których tylko potem anioły podnoszą  
jak liść jesienny w baśni i prostując bożą  
ręką – tak ukołyszają, aż w Bogu odtworzą.  
A ci jak huragany wszczęte wianem płaszczą  
są, choć przez grozę, silni, gdzie armaty paszcza,  
gdzie dłoni uderzenie, i tak są zwycięscy  
w chwili zbrodni – na wieczność odtworzeni w klęsce.

O wielcy, których siłę nazywają słabość,  
bo śpi w nich jak pomruki lawiny i czeka  
na czas wiary, na znamię, na grom i człowieka,  
na burzę planet, na rzeczy nazwanie.  
A że z nich tworzą trumny, co w ziemi zwyciężą,  
są zwani słabość, że nie ma oręża,  
że nie ma na zwałiskach kwitnącego sioła,

że nie rozdepczą małych, bo światło anioła  
jest nie przeciw małości, ale obok – znacząc:  
wielkość – ciało przerastaniem, nie małych rozpaczą.

*marzec 42 r.*

## Młodość

Tak odgarniamy te lata, a one  
jak łodyżki strzelające pod grad.  
W żółtym blasku jeszcze zielona  
dłoń się pręży jak kwiat.

Ach, jak w pędzie na rumaku, co szumi,  
takie rumaki są – jak ulew maszt.  
Jeszcze słowa, które się rozumie:  
spełnia się pierwszy raz.

Jeszcze ciało i Bóg coraz nowy,  
i duchów głos u ciężkich powiek,  
i rzeki, gdzie jak fale – głowy  
i gdzie umiera człowiek.

To, co poznane, cierpki owoc,  
co w siwy porost zmienia wzrok,  
co w kamień zmienia. Marmurowe  
obłoki kładzie w noc.

I to, co zbrodnią jest, jak wbity  
na szpilkę rudy chrząszcz,  
co stygnie w bólu i granitem  
zostaje w śnie jak głos.

I to, co miłość: trawa rwana  
garścią, aż tryśnie żywy sok,  
martwieje jeszcze nie doznana,  
przyrosła krwią do obcych rąk.

I nim się kształt ustoi pełny  
formą choć w krzywdzie – piękną,  
płomieniem w domy, na twarz hełmem  
cień runie, aż kolumny pękną.

I nim uniesiesz, nim ustoisz,  
będziesz jak dziecko, co się boi,  
rozpoznający kształt.

I już się staniesz. Przebudzony  
drzewem w zmierzchanie nachylonym,  
u martwych siniejący skał.

*marzec 42 r.*

## Wieczory

Nie wystarczy nas na to milczenie  
i płacz za umarłym czasem.  
Rosną na ścianie, w ogień schodzą cienie.  
Obce przeszły, zostały nasze.

Jak zwierzęta łaskawe u ognia mrużąc  
otulą nas w futro, nim je wchłonie  
noc wargami spalona i sen,  
nim ich nie zdejmą nagie dłonie.

I zamyślenie tylko jest, a łez  
nie będzie, nim się nie odnowi  
w ruinach kwiat, a w ciele człowiek  
i pod stopami śniegu chrzęst.

*III. 42 r.*

## W żalu najczystszy

O, dziecko smutne, o ty zagubiony  
w żalu najczystszy za wrót niedomknięciem,  
którędy by duch przewiał natchnionym cyklonem  
i wiarę święcił.

Ty gdzie odjeżdżasz, coś aniołów widział  
w ludziach znużonych, co szli nad strumieniem,  
i już odbicia ich ujrzałeś światłem,  
gdy były cieniem?

Gdzie chciałeś wyczuć pod dłonią kształt lawy,  
która by w gemmy zastygała zwycięstw?  
Czy gdzie się bunt nie z ognia, a z małości stawał,  
a z pieśni – wyciem?

Czy gdzie się wolność stawała skuwaniem  
w imię powstałych, którzy kładli nowe  
kajdany, a znużeni nad wiarą czuwaniem,  
spadli jak głowy?

Czyś ty nie widział, że w słabości wokół  
nikt nie dopatrzył do końca przeznaczeń  
i że za mały, by stanąć na cokół,  
wojownik płacze?

A wiesz, że mędrców i magów spełnienia  
to niebo było czynione przez człeka,  
by trwał dla celu, szedł jak idzie – cieniem,  
czekał jak czeka!

I wiesz, co miłość – jeśli tylko sobie?  
Co znaczy przemoc, jeśli tylko zemstą  
za krzywdy, których nie wydrze i spowiedź,  
aż staną klęską.

O, dziecko smutne, ty nie dopełnione  
człowiekiem – jakby nie spełnione życiem.  
Cóż to rzeźbienie, jeśli tylko w marmur  
marmuru ryciem?

Cóż to pod snami jak pod palcem czułym  
znajdziesz, gdyś człowiek przez ciało i ruchy,

kiedy cię smutkiem w kamieniu wykuły  
najczystsze duchy?

Nie płacz i pojmiij prawo, które mija,  
i pojmiij sen, a tając pojmwowanie, uczyń  
żywy grom w głazie jak ręka niczyja,  
co żyjąc – uczy.

*dn. 21. III. 1942 r.*

## Źródło

Basi

Unieś głowę jak źródło,  
z niej powstanie kolor  
i nazwanie wszechrzeczy,  
i płynienie porom.

Widzisz, wszystko spełnione,  
czas po brzeg nalany  
i niebo syte żaru  
jak złote fontanny.

A wszystko możesz spełnić  
od nowa i począć  
widowiska w obłokach  
tryskające oczom.

I wszystko, co przypomnisz,  
będzie jak czas głuchy,  
nad którym jak nad ciałem  
zawirujesz duchem.

Bo kochać znaczy tworzyć,  
poczynać w barwie burzy  
rzeźbę gwiazdy i ptaka  
w łun czerwonych marmurze.

*marzec 1942 r.*



## Noc

Basi

Madonno moja, grzechu pełna,  
w sen jak w zwierciadło pęknięte wprawiona.  
Duszną noc, kamień gwiazd na ramionach  
i ta trwoga, jak ty – nieśmiertelna.

Madonno moja w grzechu poczęta,  
to nie są winy, którym łez brak.  
Noc jak zwierzę zatulone w strach,  
noc, która zawsze pamięta.

Usta są gorzkie i suche, do łodyg  
spalonych tak młodo podobne,  
oczy ogniem niepłodne –  
złoty orzech.

Czym łuskać z zamyślenia?  
Wiarę uczynić po zgonie?  
Jestem jak blask twój, co tonie  
w morzach powrotnych jak ziemia.

Madonno, czym mnie wybawisz od nocy?  
Czy dziecko przywrócisz wygięciem warg na dół?  
Snom kolistym, kwiatom, wodospadom  
dasz się przeze mnie toczyć?

Uczyń ruch nieomylny, daj nazwanie  
wiatrom chłodnym, które z dzbanów leją  
płyn, co jak płomień jest.  
Dziś noc i budzę się, zanim dojrzeję  
w lusterkach twoich łez.

*28. III. 1942 r. Stawisko.*

## Pragnienia

Co dzień kochając cię płacze,  
tęsknię za tobą – patrząc,  
oczy mi popieleją,  
wiedzą, że nie zobaczą.

A z ciebie gorycz płynie  
jak w niebo dym spokojny,  
dzień jak liść kruchy się zwinie  
i ptak, co w śpiew niezbrojny.

Przysiadają na mnie modlitwy  
przelotne, ach, przelotne.  
Elementarne bitwy,  
trwożne, samotne.

Uczę się ciała na pamięć  
i umiem. Widać dusza  
jest jeszcze, która kłamie,  
a we mnie śmierć porusza.

Po snów kipieli ciemnej  
szukam cię, tak się spalam,  
ręce mi nadaremne  
jak ptak, co gniazdo kala.

I może by w milczeniu  
i w cierpieniu być może,  
cóż, kiedy nocy grozę,  
niedowidzeniu.

I takim ci ja hardy  
jak ręce, co rycerzom  
przypinają kokardy,  
w których siłę nie wierzą.

I takim ci ja mocarz,  
że kiedy słów nie trzeba,  
nie umiem stworzyć nieba  
miłością w oczach.

*czerveniec 42 r.*

## Promienie

Powietrze aniołów pełne,  
a ich przejrzysty trzepot  
jest jak natchnione ciepło  
nad ognia złotą wełną.

Dziewczynko, która fruwasz,  
na ptaki rozmnożona.  
Biały pył? Jasny potok?  
Promień ścieżek jak złoto  
na skrzydłach? Na ramionach?

Kim mi jesteś? Kim jesteś?  
Obłok snu purpurowy.  
Cień przenika powietrze,  
idzie ziemią i przeczy  
puszystej rzeźbie głowy.

Smutek to czy czekanie?  
Pośród organów blasku  
jak dymu smukłe laski  
lub słupy srebrnych puchów -  
— bąki grających duchów.

Ileż muzyki ciepłej!  
Kim mi jesteś? Kim jesteś?  
Utrwalony powietrzem  
ptaku białego pyłu —  
kim mi jesteś, czym jesteś —  
pół-ptak, a pół-miłość.

*A. D. 42, 19. IV*

## Młot

Matce

Czuję Twój młot przejrzysty – Panie,  
który mnie kruszy z nocy w noc,  
i wiem: gdy skruszy – zmartwychwstanie  
niebieski klon.

Jesteś jak mistrz-rzemieślnik, który  
wykuwa tam, gdzie widzi formy,  
i zetnie tam, gdzie gład oporny,  
a żywy wzniesie w górę.

I widzę kościół wszechstworzenia:  
gotycki łuk po łuku wznosisz,  
w powietrzu kując kształty przemian  
i słup wielości.

Widzę dojrzałe już i pełne  
ptaki i drzewa syte dłuta,  
a ja – czy jestem w nieśmiertelność  
ból i pokuta?

A ja, czy zewsząd niedojrzały,  
abym ja – ognia pełen dzban,  
tak pod Twym młotem stał się trwały  
jak zasklepienie niebem ran?

I pada młot Twój ostateczny,  
aż ciało stanie ziemi – puch,  
a ja – czym taki posąg-duch,  
że mi przez ból – być posąg wieczny?

*17 kwiecień 42 r.*

\* \* \*

O wielkie niebo świata, od wiatru zmarszczone,  
od snu zielono wzdęte, od ognia czerwone,  
nad kuźnią purpurową jak żelazo giętkie,  
jak łuk żaru ziejące, jak miecz boski – piękne.  
Niebo, niebo tułacze idące na wschody,  
nad wypalone miasta i żywe ogrody,  
idące na północe, na białe południa,  
niebieska harfo lipca i żelazna grudnia.  
Niebo-pielgrzymie, ty rozpoznasz przecie  
tych, co w tobie odbici jak w wielkim zwierciadle,  
ciągnęli nić tęsknoty wędrując po świecie  
i zanim nić zwinęli, już u końca padli.  
O ty, niebo tułacze, twoje ptaki dzwonią,  
są nam jednako orłem, aniołem, pogonią  
i tym, co ich szukają, i tym, co znaleźli,  
i tym, co nieśli je gdzieś i nie donieśli,  
i tym, co już zdradzili, i tym, co jak owi,  
co giną za nic – bracia chrystusowi,  
i tym, co rozpoznali i na sercach swoich  
przykuli jak ryngrafy na ognistej zbroi.  
O niebo, niebo boże, połącz nas i uczyn  
krzyż jakiś albo znamię czasu, co pouczy,  
co nakaże wybaczać i zbudować korab,  
który przez każdy potop przejdzie jakby chorał,  
który, arką natchnioną, arką sprzymierzona,  
będzie mocnym jak surma, słabym jak ramiona,  
i da tym, co widzieli upiorów tabuny,  
serca z białych gołębi i oczy – pioruny,  
tym, którzy krzyk słyszeli, który niebo z kory  
odzierał, jakiś nowy młot i młot natchniony,  
który tam, gdzie uderzy, wypryśnie kształt czysty,  
a gdy nie zmiążdży – będzie wiekuisty.

20. V. 42 r.

## U niebios rozkwitających

Młody dąb jak woda w górę  
tryska. Ptaków jasne koła.  
Dotykalna dłoń anioła  
dzieli chmurę.

Wąski strumień, wąż roślinny,  
ziemię jeszcze raz obejmie,  
czas jak obraz z nieba zdejmie,  
taki płynny.

Dzbany mleka – ciała żywe  
jakże krzepko łączy w owoc  
strop wysoki ponad głową,  
chóry lasów tkliwe.

Dana ci ta glina giętka,  
oczy z ognia i rozumne  
i jak pług dzieląca ręka;  
posąg szynisz nią czy trumnę?

W blasku cały postawiony,  
nim rozróżnisz blask wszechrzeczy,  
z mdłego ciała cię uleczy  
nienawistny, przesądzony.

A mieć ciało, duszę jako  
słup żelaza – to nie znaczy  
przejść jak po szkle – po rozpaczy,  
ale niebo unieść ptakom,

ale dom unosić w górę:  
mrówczy dom i ludzki kościół,  
nazwać wreszcie czas miłością,  
dosiąść chmurę.

Wtedyś ziemi pobratany,  
kiedy trud największy wzniesiesz,  
gdy choć jedno drzewo w lesie  
nie odcięte, zbudowane.

Jakąż w ptaków czas, na gody  
szatę włożyć? może z gwiazdy?  
jakiż uśmiech, a przyjazny?  
czapkę chyba z drzew i wody?

A my mali tacy, dumni  
u tych niebios pełnych liści,  
u tych świateł. W nienawiści  
na cokole smutnej trumny.

A my tacy we krwi cali,  
wciąż bez wstydu – boskie dzieci.  
O, niech anioł nie uleci,  
nimśmy jeszcze tacy mali.

*dn. 30. V. 42 r.*

\* \* \*

Nie wstydź się tych przelotów  
pełnych płomieni białych,  
tych dźwięków a niestałych,  
takich jak w burzy złoto.

One na drzew dotyku.  
co stropu sięgać zda się,  
są w cichym majestacie  
Bogu – muzyką.

I obleczone w pióra  
czy w przezroczystry niebyt,  
każde są drogą w chmurach  
albo po niebie

nazywaniem snów wrzących  
napełnieniem pachnącym  
i krwią w powszednim chlebie.

Nie wstydź się cnoty. Ona,  
choć jej nadali ciało  
zbrodni – toć jej za mało,  
czeka nie napełniona

jak dzban – to kształt jej nadaj,  
niech będzie czynom – waga.

Nie wstydź się wiary w siebie;  
ona nie snów głupotą,  
ale jak we krwi złoto  
i krzew na grobie

wzrasta na tym, co płyta,  
co gniece – nie rozbita.

Nie wstydź się miłowania,  
tworzenia, dorastania;  
w żelaznej żądzii twojej  
ona jest płomień nieba,  
co sztabą tak rozgrzewa,



że kując niepokojem  
przemienisz w wieżę pragnień,  
do której czyn się nagnie.

Otoś mały, a taki  
sam w sobie jesteś rodzic,  
że z głosu nawet – ptakiem  
i anioł nawet w głodzie.

Jeno lotom nie wzbraniaj,  
ogniom jeno daj imię,  
czas cię wtedy nie minie  
możności przerastania,

naczynie miłowania,  
tonie w Bogu stawania,  
człowieku.

*VI. 1942 r.*

## Rzeka

Płyn, ziemio. Góry ciemne. Rzeka wszystko niesie.  
Łądy wzdłuż wody pękną. Jak wiosło milczenia  
rzeka wszystko podzieli na wiosnę i jesień,  
na zimy siwe, pory wszystkich lat.  
Niosą się ptaki, a brzegi tajemne  
świat smutku otwierają i radości świat.

To taka waga srebrna, uśmiech nieba w ziemi,  
ujrzy nas i uniesie z rękami ciemnymi  
od pracy, utrudzonych przygarbie i z odbić  
gdzieś na krańcu żywota może się odczyta  
nasze twarze milczące. Będziemy podobni  
sami swoim odbiciom w niej albo podobni  
ciemnościom, które niesie, albo nieskalane  
twarze w srebrze zostaną, a niepokonane.

Płyn, ziemio. Długi wieczór i ptaki u lic,  
zdaje się, rzęsy trzepot przyjacielskich oczu,  
i jaskółki cieniami ciepłymi migocą,  
i noc zapada ciężko, i pierzasty świt  
podnosi chmur powiekę. Tratwy suną w mrok,  
owoce ciężkie niosą; jabłka – jakby grad  
burz dostałych opadły z drzew minionych lat.

Cóż będziemy czynili? Domki na wybrzeżu  
jak zabawki czekają na dziecinną dłoń,  
a wokoło zwierzęta utrudzone leżą  
i na biegunach cieni w głąb pastwiska koń –  
przebiega. Ludzie oczy unoszą z daleka,  
uśmiechają się, ręce w powitania kwiat  
wznoszą, jakby mówili: „Płyńcie. Tyle lat”.  
I z uśmiechem zostają pogodni i sami  
z tym sercem rozdzielonym na światło i kamień.

A ta rzeka unosi nie trwając ni chwili,  
a czasem takie ręce żelazne unosi,  
a czasem w niej westchnienie, co o oddech prosi,  
i myją krwawe dłonie ci, którzy zabili.  
I czasem łza upadnie, jakby popiół padł  
powitaniem: „O płyńcie! Ileż jeszcze lat?”

A to tych ziem spalonych włosy albo dym,  
a to skrwawionych chłopców, których ścina kat,  
matki ciała obmyją, nim oczy szernieją,  
jeszcze rzeka wskrzeszeniem, daremną nadzieją,  
albo dziewczątka ciche o oczach z ołowiu,  
jakieś serca rozdarte i trumny w niej łowią,  
a to przebite ręce upiory zanurzą,  
oczy powydzierane jak kamienie dnem  
potoczą się, zahuczą, nim się staną różą,  
co nad wodą wyrośnie, i jak skrzepła krew  
u hełmów złych zwycięzców przypięta – przepali  
i będzie jako grot z milczenia i ze stali.

Płynie rzeka spokojna. Dobra ziemi, płyn,  
rzeka wszystko rozdzieli na zbrodnię i czyn  
i spokojna, żelazna, uniesie, pogodzi  
dymy splątanych odbić na kwiaty narodzin,  
na barki trumien głuchych. Zapomniany głos  
jeszcze w niej woła cicho, jeszcze bieli włos  
zapatrzonych na brzegu. Jeszcze trawy długie,  
jeszcze jaskółki przetną i zważą powietrze  
maleńkim ruchem skrzydeł. Jeszcze westchnie przestrzeń.

Kończy się ciemna rzeka i zapada czas.

*9. VII. 1942 r.*

## Modlitwa I

Niezdarne ręce, martwe trudy!  
I cóż ja pocznę pod tym niebem,  
gdzie tłumy głuche, gdzie pożogi  
i wyją z lęku głodne ludy?  
Nie nakarmiony snem ni chlebem,  
jak trup nie pojednany z Bogiem,  
cóż ja wam pocznę pod tym niebem?

O, nie nazywaj mnie człowiekiem,  
bo mi wstyd krwawy – wzrok wyłupi,  
bo mi na czole zbrodni znamię.  
z ziemi nie owoc – zaduch trupi  
i tylko topór, a nie ramię.

O, nie nazywaj, lepiej powieś  
na ustach pieczęć – boże słowo  
i jakąś pieśń, a nie grobową,  
i jakiś hełm, a nie na głowie.  
Zanim jak anioł wyjdę z piekieł,  
o, nie nazywaj mnie człowiekiem.

I odbierz ręce te niezdarne,  
co i z marmuru krew wyplusną,  
i zanim ziemię zedrzesz z powiek  
i nim odbijesz mnie jak lustro,  
by twarz nie była trumną czarną,  
daj, żebym umarł choć – jak człowiek.

*lipiec 1942 r.*

## Modlitwa II

Tak wzrastamy, idziemy przez czas i kochanie.  
Bogu nie dowierzamy, ludzie kłamią nam.  
Jeszcze rok, jeszcze życie, a co pozostanie,  
kiedy u blasku przystaniemy bram?

Nikt z nas nie jest bez winy. Kiedy noc opada,  
wasze twarze i moja ociekają krwią  
i własne ciało jest jak duszy zdrada,  
i nienawistne ćwieki własnych rąk.

I nikt bez zmazy. Czarne czasu koła  
jedne w drugie wplecione, czyn pociąga czyn.  
I noc. A z nocy tej jak gdyby nikt nie wołał  
nawet o łaskę, odpuszczenie win.

O spłyń, aniołem spłyń i od konania  
z myślą od głowy odciętą przez bat  
oczyść. I przywróć nam moc pokochania,  
sosnowy, prosty dom i potok żywych lat.

O ziemio, ziemio moja, powróć w nasze serca  
czystym imieniem, rozwiąż skamieniały czas.  
Od ciał zabitych, ciał morderców,  
od trwogi nocnej oczyść nas.

*17 wrzesień 1942 r.*

## Modlitwa III

Jeżeli życie tak nas odstało  
i nie doleci żadne wołanie,  
odbierz nam, Panie, ten proch – nie ciało,  
śmierć daj nam, Panie.

Jeżeli skrzydła dzieci małych  
poobcinają, zamieniają w kamień,  
odbierz nam ziemię spod stóp przeklętych,  
w glinę nas zamień.

Jeżeli konać nam tak kazałeś  
z twarzą pod butem, z hańbą u czoła,  
jeżeli każde kochanie małe,  
to nas nie wołaj.

Jeżeli mokre gałęzie oczu,  
jeżeli usta z płomieniem wiary  
lękiem rozdmuchać i zakryć nocą,  
miłość – pożarem,

to nas już nie karm ziemią ni niebem,  
odbierz, gdy dałeś, niepokój godzin,  
to zabij dzieci kamiennym chlebem  
przed dniem narodzin.

*wrzesień 1942 r.*

## Tren II

Oto jak pomnik własnego miłowania  
u sinych wód milczeniem stoję,  
a dołem płyną trumny i posłania,  
a górą czas i wielkie boje.

O źli, źli ludzie, jakie to wam było  
ciało złowrogie, tępe takie, złe,  
o, jaka była ta kłamana miłość,  
której nie starczy i na jedną łzę.

O źli, nieszczęśni czy w Bogu zapomniani,  
tłumem wylegli nad przepaści brzeg,  
nie dostający ciemnymi głowami,  
nie uskrzydleni rytmem ciemnych serc.

Mroczne, mroczne wąwozy. To mi przed oczami  
cień duchów jakichś mignie, to strzaskany krzyż,  
to drogi stratowane trwogą i kołami,  
nad grobowiskiem ziemi – nieba drżący liść.

Nie ma, nie ma powrotu, sine wody moje,  
do zatopionych dziejów, które w was odbite.  
Ja jestem posąg wasz i nad milczeniem stoję  
skamieniałym – pragnieniem i żywym – granitem.

Nie ma, nie ma ucieczki. Na rozdartej ziemi  
ten milion serc kalekich z mojej piersi krwawi.  
Byli żywi, odeszli z słowami prostemi,  
tych Bóg milczeniem zbawił.

Ale nam ziemia gorzka, twarda, nieudała.  
Widzę was krew wężących, palących kościoły,  
zdzierających z umarłych strzęp żałosny ciała,  
złą trwogą i chciwością złączonych na poły.

Czuję stopy wężące ostatnie przymierze  
i ciemność, która chlusta na to martwe złoto.  
I jestem posąg czasu śmieszny – który, wierzę,  
choć nie ma znów powrotu, znów nie ma powrotu.

9. X. 42 r.

\* \* \*

Żyjemy na dnie ciała. Na samym dnie grozy.  
Rzeźbi nas głód cierpliwy i tną białe mrozy.  
U okien przystajemy. Noc za oknem czeka  
i śmierć się jeży cicho, gdy czuje człowieka.

I topniejemy z wolna. Nie patrzmy sobie w oczy  
na drugi dzień. Znow człowiek utopił się w nocy.  
To nie jest smutek wiary. To serca tak siwieją  
i stygną coraz, stygną, z miłością i z nadzieją.

Wiemy tylko. To wiemy: w ostatnim śnie cierpienia  
jest dom rzeźbiony w słońcu, a pod nim ciepła ziemia,  
i tam strumieniem jasnym jak przezroczystym mieczem  
odbici – rozpoznamy twarze ciągle człowiecze.

*19 październik 1942 r.*



## Elegia

Obłoki lotne, żagle uniesień, drzew przyjaciele  
na nieboskłonach.  
Głowa się chyli w ręce chropawe, głowa bolesna,  
łakną ramiona.  
Ten ptak pod wami przepływający jest moim sercem,  
ciemny, wysoki.  
Jakże mam uciec do lasów złotych przed niepokojem,  
ptaki – obłoki?  
Jakże mam wrócić pełen żałości, niedokończony  
w lot wasz i płynność?  
Dłonie przebite, krzyż za mną idzie,  
śmierci powinność.  
Tak się ta glina nieurobiona piętrzy, kamieni,  
miasta goreją.  
Jestem że grobem własnym na ziemi,  
własną nadzieją?  
Ciche obłoki! znów mnie mijacie, światła płynące,  
cienie dalekie.  
Wiarą was nazwę. Wy mnie nazwiecie próchnem żałości,  
trumną, człowiekiem.

*wrzesień 1942 r.*

## Zjawy

Dymy pachnące jak kolumny nieba  
nad drzew siwieniem wysoko, wysoko,  
i w niewidzialnym odbicie potoku.  
Czyśmy tak tylko zamysłeni w Bogu,  
czy nas już nie ma?

To wszystko jesień. Wszystko znów ominie.  
Ciało i popiół, i smutek ten sam,  
i cisza wielka stoi na głębinie,  
nienasycony, ciemny dzban.

Wiem: to te same kołowroty sklepień  
huczą u świateł wysoko, wysoko,  
kule ogniste i znaki na niebie,  
te same idą posągi obłoków.

A ja tam w dole jestem człowiek jeno,  
ja nie poznaję jesieni i rzek,  
spięty krokami z bolesną ziemią,  
ledwie przeczuwam daleki brzeg.

A ja tam w dole łaknę i konam,  
śmierć na mnie ciężka. Burza schylona,  
mknie po mnie górą. Leżę bez dna.

A ja tam w dole łaknę, i oczy  
tylko mi ciążyą, grozą spełnione,  
i tyle serc się przeze mnie toczy,  
wszystkie spalone.

Są tylko te skinienia, które czas przemilczą,  
skrzydeł trzepot czy rąk, czy gwiazd?  
Widzę we mgłach na nowo wędrujący las  
i noc tajemną, wilczą.

Staję u okna. Okno – zwierciadło,  
ziemię odbije wysoko, wysoko,  
i to, co w ciemność kamieniem spadło,  
spojrzy mi w pamięć jak światła oko.

Drzewa otworzą się – bramy śpiewne.  
Natchnie mnie liści gorzki zapach.  
Przyjdą zwierzęta – mrużące ciepło –  
na cichych łapach.

Knieje odwiną po liściu z purpury,  
aż do jeziora mrocznego dna,  
nad jeziorami postawią góry  
te dłonie czyste jak ze szkła.

Będę rozmawiał z niedźwiedziem złotym  
pod śliw ciężarem, pod jabłoniemi  
i tak się wolno zamkną gałęzie  
i świat za nami.

I tak zostanę liści pełny  
pośród kaskady lasów i zwierząt,  
płynący rzeką ze złotej wełny.

Wtedy jest cisza. Nim czas nie uderzy,  
nim nie przewali się burza ślepa  
i ciemny łoskot, i chrzęst żelaza,  
a zapomnianym daleko od nieba  
czarny włos śmierci porośnie na twarzach.

*18 październik 1942 r.*

## Miłość

O nieba płynnych pogód,  
o ptaki, o natchnienia.  
Nie wydeptana ziemia,  
nie wyśpiewane Bogu  
te drzewa, te kaskady  
iskier, ten oddech nieba,  
w ramionach jak w kolebach  
zamknięty. Jak cokoły  
drzewa z szumem na poły;  
serca jak dzbany łaski,  
takie serca jak gwiazdki,  
takie oczu obłoki,  
taki lot – za wysoki.

Słońce, słońce w ramionach  
czy twego ciała kryształ  
pełen owoców białych,  
gdzie zdrój zielony tryska,  
gdzie oczy miękkie w mroku  
tak pół mnie, a pół Bogu.

Twych kroków korowody  
w urojonych alejach,  
twe odbicia u wody  
jak w pragnieniach, w nadziejach.  
Twoje usta u źródeł  
to syte, to znów głodne,  
i twój śmiech, i płkanie  
nie odpłynie, zostanie.  
Uniosę je, przeniosę  
jak ramionami – głosem,  
w czas daleki, wysoko,  
w obcowanie obłokom.

*8 wrzesień 1942 r.*

## Ten czas

Miła moja, kochana. Taki to mroczny czas.  
Ciemna noc, tak już dawno ciemna noc, a bez gwiazd,  
po której drzew upiory wydarte ziemi – drżą.  
Smutne nieba nad nami jak krzyż złamanych rąk.  
Głowy dudnią po ziemi, noce schodzą do dnia,  
dni do nocy odchodzą, nie łodzie – trumny rodzą,  
w świat grobami odchodzą, odchodzi czas we snach.

A serca – tak ich mało, a usta – tyle ich.  
My sami – tacy mali, krok jeszcze – przejdziem w mit.  
My sami – takie chmurki u skrzyżowania dróg,  
gdzie armaty stuleci i krzyż, a na nim Bóg.  
Te sznury, czy z szubienic? długie, na końcu dzwon —  
to chyba dzwon przestrzeni. I taka słabość rąk.  
I ulatuje – słyszę – ta moc jak piasek w szkle  
zegarów starodawnych. Budzimy się we śnie  
bez głosu i bez mocy i słyhać, dudni sznur  
okutych maszyn burzy. Niebo krwawe, do róży  
podobne – leży na nas jak pokolenia gór.  
I płynie mrok. Jest cisza. Łamanych czaszek trzask;  
i wiatr zahuczy czasem, i wiek przywali głazem.  
Nie stanie naszych serc. Taki to mroczny czas.

*10 wrzesień 1942 r.*

## **Z nocy**

Ciepła ciemność na ramionach się oprze,  
jest dobrotliwym zwierzęciem milczenia,  
ogromna i powolna. Jest cicho. Tak dobrze.  
Słysząc, jak się zabliznia stratowana ziemia.

Zdaje się, to rośliny, co łączą tak nieznacznie  
drogi bojów żelaznych i serca w ciemności;  
w niej czeka oplót ramion, w których sen się zaczyna,  
sen wiary, sen miłości.

Zdaje się, jesteś gazelą w cieniach, w huśtawkach wieczoru  
lub w chybotliwej wodzie pni zbrązowiałych sieć,  
a możesz tylko ptakiem, co przeszedł bór upiorów –  
— moje ty światło na zawsze – więc leć.

Ciepła ciemność jak zwierzę ma na szyi ranę;  
nie widzę, czuję dłonią – płynie z niej cicha krew.  
Nie bój się, gdy zaryczy ta ciemność. O kochana!  
to jest już oswojony, zmniejszony czasem lew.

*wrzesień 1942 r.*

## Z wiatrem

Basi

Jesienie rok za rokiem idą,  
gwiazdy jak deszcze szyby tną.  
Zielone łanie na polanie,  
u okien huczy serca bąk.

Nie płacz, kochana, lat złowrogich,  
spod twoich rzęs zielony liść,  
ptaki i drzewa trysną, drogi,  
po których dalej trzeba iść.

Liście opadły. Wrócą liście  
i modlitewne łuki gór,  
przezną ludzie w nienawiści,  
zostanie trzepot ptasich piór.

Knieje się pienia – tylko pomyśl –  
w powietrzu falującym tchu  
niedźwiedzi pomruk zaczajony,  
niebieski jezior duch.

Nie płacz, kochana. Śpij w cierpieniu,  
na dłoni mojej drżący ptak,  
rzekom i mnie, i wiosen cieniom,  
i miłowaniu lat.

Przeznienie łoskot burz gwiazdzistych,  
nie stanie ludzkich burz.  
Nam, śpiewającym pieśni czyste,  
serce rozetnie czas jak nóż.

Bo już kolebią aniołowie  
imię – jak złote imię gwiazd,  
próchnieje pod stopami czas,  
zostaje wieniec chmur na głowie.

Bo już kolebią aniołowie  
na niewidzialnych dłoni śnie  
proste jak sosna, czyste dnie  
rosnące w ptasim słowie.

*29 październik 1942 r.*

## O mój ty smutku cichy

O mój ty smutku cichy,  
smutku gwiazdek maleńkich,  
nazywałem, szukałem,  
brałem ciebie do ręki.

Jak to się ciało twarde  
tak w piasek albo glinę  
zamienia w moich dłoniach,  
pragnienie każde – w winę.

Jak to się – kiedy dotknę –  
kwiat przeobraża w ciemność,  
a poszum drzew – w głuchotę,  
a chmury – w grzmot nade mną.

Jak to ja nieobaczny  
mijam, sam sobie błahy,  
i rzeźbę zanim zacznę,  
marmur wypełniam strachem.

Jak to ja nasłuchuję  
błyskawic w niebie trwogi.  
Jakże to ja nazywam  
każde czynienie – Bogiem?

Otom strzep oderwany  
od drzewa wielkich pogód,  
sam swym oczom nie znany,  
obcy swojemu Bogu.

Oto słyszę, jak w popiół  
przemieniam się i kruszę.  
I coraz mniejszy ciałem,  
wierzę we własną duszę.

*1. XI. 1942 r.*



## Romantyczność

Zgliszczca. Takie już prawo wyrastać z popiołów.  
Wiatr rozrzuca kwiaty przejrzyste jak szkło.  
Podaj ręce, kochana, które ku temu są,  
by się zamykać jak koło.

O lasy niewidzialne, knieje, co się chylą,  
i oddech ich na ustach, i u powiek szept:  
Wiesz, miła – po tych gruzach, co przerosły gniew  
będziemy duchów chwilą.

O, bo słyhać muzyki i nie takie,  
które we fletni grajek przynosi i gra,  
to od tarcia skrzydeł, to gdy po rzece kra,  
które dopiero kończą się ptakiem.

Nie trzeba śnić, aby ujrzeć płomień w obłoku,  
a gdy zobaczysz dłonie bez ramion – też nie sen.  
Krążenie jak poczynanie i łuny pęd  
i widać tak wyraźnie jak twarz w potoku.

Takie już prawo nam rosnać czy ginąć,  
sok wprowadzać w spalone łodyżki ciał,  
gdy przy nas duch. A ja widziałem: stał  
nad nieobeschłą kształtu gliną.

Bo w rośnięcie naoczne uwierzyć czym jest,  
gdy się tak pręży i zorza wstaje nad nim?  
Oto twa głowa na piersi i czuję serca łez,  
w każdej z nich anioł ukryty – nim spadnie.

*dn. 24. III. 1942 r.*

## Prolog (Ojczyzna)

O miasta w dole tam, gdzie pułap dymu leży,  
o rzeki w dole tam, o wsi jak białe stogi,  
gdzie maszyn ruch i gdzie ociera złote rogi  
w odbiciu szybkich rzek zielony jeleń chmur.

Obłoki górą płyną, obłoki są jednakie  
jak ścigający korab albo odbicie fal,  
które mijają sen i są jak ludziom ptaki  
nad ogień i nad stal.

I w moim kraju one jak indziej niosą szept,  
i w moim kraju one jakby przez obcą dłoń  
niesione – tworzą obraz, który samotny rzeźbiarz  
układa mimo huku albo pogłosu trąb.

A w dole jest ojczyzna – to, co się nie nazywa,  
to, co jest przypomnieniem najdalszych cichych lat,  
i to, co w oku łza, przez którą widać świat,  
i to, co w sercu sen i nawałnice rąk.

O, dajcie, dajcie ręce, niech w drzeniu poznam sen,  
co wzrastał i aniołem pozostał pod powieką.  
Ojczyzna moja tam, tam jest i tak daleka,  
jak jest podana dłoń człowieka dla człowieka.

Ojczyzna moja tam, gdzie zboża niosą wiatr  
i gdzie zielony krąg zamyka pierścień Tatr,  
i gdzie jak posąg złoty morze wygina łuk,  
i człowiek, gdy z człowieka przemawia żywy Bóg.

Ojczyzna moja tam jak łańcuch martwych ciał  
i leży na niej głaz, spod niego zieleń tryska.  
O ziemio, tyś jest obraz ciosany z krwawych skał,  
ty jesteś duchom grób i duchom jak kołyska.

Kto ciałem, temu kat obcina głowy taran,  
kto duchem, temu kat nie zetnie głów płomienia,  
bo gdzie się kończy zbrodnia, tam się zaczyna kara,  
i tam zaczyna niebo, gdzie się kończy ziemia.

5. IV. 42 r.

\* \* \*

Śnieg jak wieko żelazne na oczy opadnie.  
O! wy bracia w milczeniu moi – niedorośli.  
I Bóg mnie nie przypomni ani mnie odgadnie  
z nagrobka przechodzący, aż w tysięcznej wiośnie  
może dłoń jakaś biała odgarnie ciemności  
i będzie to prawdziwy czas, czas tej miłości,  
której u was nie znałem. Bóg – tak sobie marzę –  
w błękicie lotnym nieba wyrysował twarze  
naszym cierpieniem niby maski jasne,  
które przymierza tym, tym zapomnianym,  
czasem podobne rysom, a czasem za ciasne,  
aż trafi – wtedy krwawe zasklepiają rany  
i taka błogość nieba osiada w błękicie,  
że wraca czas zbłądzony, choć nie wraca życie.

Znacie wy, znacie te organów knieje,  
co wyrastają niby skał mocarny obryw  
nawet tutaj na ziemi? – To są te nadzieje.  
Jeśli w popiele zgrzebnym taki blask, podobny  
bożym chyba zamysłem, przed oczy się jawi –  
nic są te ciemne ciała, które zbrodnia trawi,  
nic są te dymy czarne, ta kurzawy ciemność.  
To wszystko nic. I żadna trumna nadaremno.

Bóg tchnął jasność. On mocą łagodnego wiosła  
pchnął fale burz tajemnych i lawy stuleci,  
i co woda pobrała – to woda odniosła.  
On świecił nad tą wodą i jak zawsze – świeci.  
Śnieg jak wieko żelazne na oczy opadnie;  
popiół zostanie z żarów miłości i gniewu,  
a na ziemi dalekiej żaden czas nie zgadnie,  
jak rośnie niewidzialnie łask wszelakich drzewo.

22. XI. 1942 r.

**1942-1944**

\* \* \*

1

Książka leżała na stole. Na książkę upadł promień  
słońca pełnego jak jabłko i zesliśmy z obrazka  
jako chrześzczący rycerz i jak okuty płomień  
kochać czule zwierzęta i kreślić na piaskach  
złotych pustyń – figury, miasta i kanały,  
a ludziom dać do ręki owoce nabrzmiące,  
z których, gdy ścisnąć – tryśnie anioł, młot i potok  
krwi jak obłok płynącej, i śpiew samolotów,  
które by popłynęły lądom, kontynentom...

2

Zbudziliśmy się rano. Był świt. Było święto.  
W doniczkach trąb żołnierskich dojrzewały róże,  
a postaci obłoków wykute w marmurze  
uśmiechały się białe, zastygły tak cicho,  
że zdawało się: klasztor pełen jasnych mnichów  
patrzy w pierwszy dzień zimy na ptasi lot śniegu,  
i byliśmy jak konie zatrzymane w biegu  
i zakute w pomniki. Właśnie zapadł wieczór.

3

Ślepe dzieci epoki, biegliliśmy. Od przeczuć  
zachodziły nam oczy gwiazdami i szronem.  
Ślepe ptaki epoki. Ten, co jest człowiekiem,  
jest dzieckiem i zrzucając skrzydła jak powieki,  
z oczyma otwartymi zawsze pójdzie ziemią,  
aby nagle przystanąć i z ustami niemo  
otwartymi połykać wielkimi haustami  
krew, drogi i obrazy.  
Wtedy wielkie ramię  
uniosło się i nagle wielki strop rozcięło  
na tysiąc krajobrazów jak stłuczonych szkiełek.

4

My wszyscy razem ludzie. My wdeptani w cmentarz  
wielką stopą tygodni i my, gdy nam dłonie  
przymarzły do roboty jak w zamarzłej rzece.  
Nie ma ziemi i grobu, jakby dwa obrazy  
nałożone na siebie przenikały się razem.  
I tylko prześwituje czasem szkielet albo ciało,

albo ścierwo gnijące, albo piersi pałąk.  
A myśmy dalej poszli. Aż nam kaszel suchy  
tak uszy zakuł, żeśmy już nie słuchem,  
ale rękami dzierżąc pióra i kowadła  
pustej drogi szukali jakby u zwierciadła,  
macając, czy to grób już, czy to jeszcze ziemia.  
I śpiąc w objęciach trupów, znamy już na pamięć  
wyspy śmierci, jak kamień i krok ciężki znamy,  
którym się idzie mimo po ciałach jak drzewa  
obalonych czy wyschłych na ziemi przeklętej,  
i nikt nam już nie bliski, i nikt nam nie święty,  
tylko czasu skorupa płynąc górą śpiewa  
jak rzeka nad topielcem, a gdy snem wgnieceni  
w poduszki własnych czaszek, słyszymy od ziemi  
oddech wężących nozdrzy przywartych do powiek.  
Ślepe dzieci epoki. Tak się rodzi człowiek,  
któremu, kiedy serce pęknie, rozcięte toporem –  
nie zadrży.

Nie ma żadnych powrotów. Popękane urny,  
z których wiatr wywiał ludzi, zdarzenia i słowa,  
to wszystko zatrzaśnięte – jakby wieko trumny,  
i ty tylko krwawisz sam jak ścięta nagle głowa.

\* \* \*

Dymy, wysokie sztandary. Deszczu srebrna gałąź  
kwitnie powoli i krople coraz to bardziej jak łyzy.  
Ona smukleje u grobów, deszczem owija ciało  
i nie wie, czy żyje jeszcze, czy już odchodzi. Dym  
duszny na pół z kwiatami, a kwiaty rude jak liście,  
wybucha. Płomień pochłania. Smutek jakże ogromny.  
Jak ciężkie statki na dno spływają ciała i domy,  
puste domy bez ludzi. A ludzie mieszkają w ziemi,  
świat przenoszą głęboko. Zdaje się, żyją tam  
matki jak grona ciężarne i dzieci, które za niemi,  
zduszone, zeszyły w ziemię, bo ziemia tu jeszcze żywa  
dzwoni blaszkami liści, kwiatami gam.  
A żywi snują się nisko, groby, płomyki niżej,  
razem jak zioła jesienne, ostatni, już ostatni,  
nie wiedzą, czy glina tak miękka, że stopy pochłania, gdy  
liże,  
czy taka przestrzeń już gęsta, że wchodzi powoli w śmierć  
po szarych schodach powietrza. O co uderza pierś,  
kiedy w szumieniu cmentarza spotyka łodyg ruch,  
umarli to są, czy oni tak przemieniają się w puch?  
A ona coraz to niżej, to z dymem pełza stopiona.  
Ogromne płachty powietrza lepkie na postać się kładą,  
to w nich się żywi odcisną, to jak pod maską bladą  
ruszy się kształt niewidzialny, jak twarz bolesna drgnie.  
Oto już widzi: jak smugi wody cienkie  
wiją się z ziemi powoli. Ona gałęzią stóp  
ledwo ziemię utrzyma; jak gwiazdę błękitną rękę  
wyciąga ku nim, a oni jak ciężkie kłęby snu  
sączą się, łączą i wznoszą pod szary deszczu dach  
i słyszy śpiew podobny twarzom widzianym w snach,  
głęboki, jak ziemia daleki, drżący jak trwogi nieć  
długa i srebrna, to znowu płaski jak wodny liść.

D u c h y z i e m i :

Olch szerokich kaptury się chwieją,  
nitka wody draży jak kornik,  
warstwy czasu podobne nadziejom,  
odwalonym bryłom historii.

Grudnie czarne jak grudy i rude,  
jesień rozdęta jak żagiel,

tu odmierzaj powoli, świdrem łez, a tu uderz,  
znajdziesz serca jak strzechy nagie.

Więcej tutaj miłości się starło,  
niż udźwignie koleb ziemskich dźwigar,  
miłość taka, co jak orkan za gardło,  
od niej krew jak ptak śmigła – zastyga.

\*

Stygnał śpiew w dłoniach, z trzepotem skrzydłem pluskał.  
W palców jej siatkę wiotką, w bolesny niebieski dotyk  
szmer szary opadł z dymów ciągnących wolno, aż ustał,  
w dłoniach ojcowski mundur jak ciężki pluszowy motyl.  
„Ojczy – szeptała – ile  
lat, ile oczu potrzeba,  
żeby ten obraz twój z wolna jak cień biegnący w tyle  
tak odbudować po kropli, jak dzień jeden teraz go wznosi?”

C h ó r o j c ó w :

Nasze ciała wieczne są,  
rdza przeżera stary mundur,  
ale synom, wnukom z rąk  
jeden kwiat wyrośnie – buntu.

Wielkie kraje są jak dzbany,  
w których kipi miodu bulgot,  
ale naszych wnuków rany  
nie nasycą ziemi ulgą.

Chmur gejzery dzielą się na wstęgi,  
nitka wody drąży warstwy grube,  
zasadziliśmy młodziutkie dęby,  
aby synom wyrosły na maczugę.

Ciemne wieki huczają jak głosy,  
które w żarnach rzeki trud obraca z nami,  
pod fundament po to było ryc ziemię,  
aby wnukom z niej dobyć dynamit?

Oto niebiosą wysoko, daleko do nich,  
ziemia ciężka za nisko już, jak ołów  
ciężkie pręty zgrzybiałej broni  
zamykają dróg naszych koło.

\*

I szli już jak szare mary miast, które nagle ożywi  
jedno wspomnienie bolesne czy jeden dziewczęcy uśmiech.



Przez dłonie jej wyciągnięte płynęła mgła.  
Wołała: „Ojczy!”; rzucała rękami jak dziecko w snach,  
co wie, że nie ma powrotu, i długo marzy, nim uśnie.  
Płakała cicho – tyle skruszyło się lat,  
tyle oczu roztarty ogromnych armat koła.  
Cisza była. Za nimi dym się zawinął jak bat.  
Odeszli. Milczenie. Deszcz prószył. Nikt za nimi nie wołał.

\*

A oto nowe gałęzie – mroczny puch,  
kwitną powoli; rosną splecione z deszczem w konar.  
Ciemność. Dłonie jej drżą. Powolny moglił ruch.  
Głosy dalekie żywych czy zmarłych?

## Trofea

Kwiaty rogów dorodne. Złociste języki  
jak ogień, który pełza pod oddechem wiatru,  
albo rogi bawole jak ciemne kielichy,  
w które sklepienia kniei – nalewały światło;  
i dłonie piór jak karty tasowane nocą  
albo jak skrzydła snu, które migocą.

Noc. W nocy gwiazdy padając ożywią  
i nadmą snem błękitnym nikły płomyk w lesie,  
który wyrasta trzęsąc potoczystą grzywą  
pełną szmeru i trzasku, aż kark ciemny wzniesie  
i stoi wśród szelestu mąż, a może bawół,  
i czarny róg obciera iskier złotą trawą.

A potem w dom uderza i na ścianach drgną  
rogi i płaskie czaszki zaprzędane snom,  
a tętent kopyt cichy wszędzie i w księżycu  
jak w drętwej palmie blasku w zamyśleniu rycząc;  
i szron strącają lekko z krzaków, a przed nimi —  
– On sypiący iskrami, które gasnąc syczą  
jak wiatr, co po zwycięstwie powraca do ziemi.

## Tego dnia

Tego dnia, gdy wracałem do piekła  
przez ulicę jak ciężar powietrza,  
przez tę ciszę, gdy wzrok mi już uwiadł,  
przez tę ciszę, gdy płacz mi już wietrzył,

powracałem po tęczy do piekła...

Z napęczniałych chmur cmentarnianych  
łaskot werbli żałobnych mnie owiał  
tego dnia, gdy wracałem do piekła,  
a zabrakło już złota na słowach,

przechodziłem od chmur cmentarnianych...

Po kolumnach drzew świtem różowych...  
parki gęsto omszyły łuk ulic,  
taktem nocy schodziłem na przestrzał  
w ciężkiej barwie wypukłych dni-kuli

przez brzeg morza od świtu różowy...

Zieleń parą błękitną wybuchła,  
czułem ciszę czerwoną i gładką  
tego dnia, gdy wracałem do piekła,  
wybarwiłem ostatni raz: „Matko!”,

kiedy zieleń jak opar wybuchła...

i stanąłem na świtu krawędzi,  
który dzwony rozcinał na struny,  
tego dnia, gdy wracałem do piekła,  
dzień widziałem huczący jak łunę

i stanąłem na świtu krawędzi...

## Wyzwanie

Moje myśli są ciemniejsze od obcych słów proroków.  
Moich słów prawdziwych nie zna nikt.  
Kto z was wierzy, że oto po polanie czerwonych obłoków  
przebiegł koń apokalipsy i znikł?

Kto wierzy, że w niedzielne popołudnie  
nad pyłem odświętnych przechodniów  
spadło siedem nieboskłonów w zawiei planet, a w próżni  
sypano garściami dukaty płonących pochodni?

Czy byliście w pociągach pustych, które anielsko wstąpiły  
w zaświat,  
na ostatnich stacjach, gdzie urywa się czas,  
gdzie w czarnych lustrach wypisano ostateczne obrazy,  
znaki i hasła?  
kto z was zna cmentarz świata i nieustanny potop gwiazd?

Czy widzicie: w mroku odchodzą idee rzeczy i czyści  
ludzie, których nigdy nie było,  
i że Chrystusa tylko szatan wymyślił,  
żebyście mogli co dzień zabijać boga i miłość.

## Autobiografia

1

Dzień kołysał.  
Dzień jak statek kołysał hosanna,  
statek z blachy czy z drzewa płynął  
nocą do różowego rana.  
Już wtedy były wyspy  
uśmiechnięte kłami słoni,  
płynęliśmy ja i ty, lalko, i wszyscy  
jak przylepione do kory listki,  
które wiatr zgonił.

Kto mówił, że to bajka?  
Naprawdę był las pełen szeptu,  
gdzie na gałęziach z koralu  
ptaki-wspomnienia krzepną,  
i wśród jeleni mówiących o gwiazdach,  
dzików jak jeże puszyste,  
gdzie zwinięty w zamyśleniu ślimak,  
ja – mały jak listek,  
podaję dłoń kosmatej dłoni olbrzyma.

2

W jakiś październik czy grudzień,  
właśnie dzień był od wiatru wydęty jak dziś,  
jak żagiel.  
Szli ludzie,  
a ręce mieli płomienne i nagie,  
jak oczy, które spojrzały w śmierć,  
szli ludzie,  
których groza zjeżyła jak sierść  
na czarnej skórze miasta.

Naprzeciw  
brzuch wypełzył z poduchy zadów  
i z rąk tysiąca ogień wystrzelił,  
wtedy za ręce się wzięli  
jak szarookie dzieci  
i kiedy padać zaczęli  
jak pnie wypalonych topól,  
krew płynęła, jak płynie zraniona zieleń,  
bijący w serce topór.

Głęboko,  
na dnie rąk porytych pracą jak pługiem,  
chowam ten obraz, oczy rozdartych matek,  
i te kolumny nawet po śmierci głodnych cieni,  
i te twarze od lamentu jak płacz nocny długie.  
Z niemi  
podnoszę kamień wydarty rycerskim pomnikom  
i biję w łby złożone wypruwając zemstę,  
jak śmierć wypruwa się z krzyku.

Matko, matko, to nie ptaki tak srebrzą,  
to race złowrogich komet,  
to w zmierzchu  
za pochylonym od gromów domem  
ciągną węże żelazem okute po wierzchu  
trwożę.  
Matko, jak mnie uchronisz,  
gdy czarni ludzie otuleni w noc,  
mimo twych dłoni  
wzniesionych jak namiot modlitwy,  
prowadzą parskające szeregi piorunów  
jak tabun upiornych koni?

#### P i o s e n k a

Nocą duszny okop,  
nieba białe oko,  
dokąd jeszcze przez drutów las?  
Na wyblakły ekran  
pada czerwień ciepła  
jak odłamki pękniętych gwiazd.  
W nocy kanał bury,  
płyną cicho szczury  
utajone jak w strunę w pisk,  
w straszne oczy herosów,  
w krwi rzeźbione ich włosy  
wtulą szary, trójkątny pysk.  
Pozostanie las czaszek  
jak błazeński rząd masek  
na estradzie czarnych wzgórz,  
czaszki z brzegów wystąpią,  
dzień oczyszczeń otrąbią,  
w białe gorsy się wszarpia,  
w tłuste wbijają się karki  
jak ogromny, lśniący nóż.

\*

Czekałem na piękny zodiak,  
czekałem na ciebie, Anno,  
czekałem nad czarną melodią,  
aż osiadało rano  
mlecznymi łzami na szybach.  
Już nazbyt pachniało śmiercią  
z koronkowego „kocham”,  
z ziejących grobów wierszy  
brzęk łopat.

Tych nocy było za wiele,  
gdy z sercem na cięciwie  
czekałem na wystrzał pusty,  
ażem się wreszcie przeląkł  
własnego odbicia w lustrze,  
bo było wklęśte i krzywe.

Tak się nie kocha, jakby  
kto zabijaniem kochał,  
jak w szumie prochów nagłym,  
jakby chowało się w prochach,  
bo potem w snach się rodzą  
same bezgłowe upiory,  
bo potem w lament uchodzę:  
drzewo odarte z kory,  
i błędząc, w okno uśpione  
liśćmi krwawymi się rzucę  
i wrócę do ciebie czarnym upiorem,  
na pewno wrócę.

Kiedy słońce uchyla światła, a za nim  
ciągnie melancholię długą,  
spływają godziny jak pot złoty po tarczy  
skrzypiec graniem,  
wiatru napiętą struną,  
smugą.

Wtedy przyciskam do ust jak lutnię  
twój obraz, jak papier coraz cieńszy i płaski,  
wiatr mi go rwie, jakby łyż mi odrywał,  
jakby z cudzej książki ukradkiem  
wyrywał najdroższe obrazki.

W takich nocach się lęgną  
same mary tylko i skrzydła nawalnic,  
takie noce się karmi

przez wiatr oderwaną ręką,  
takie noce dymią padliną,  
gnijącym ścierwem obłoków,  
błądzący po nich giną  
w lęku i mroku,  
takie noce rodzą tylko zwierzęta:  
konie bez głów i koty ziejące płomieniem,  
i płynie w nich ziemia, przeklęta,  
głuchym strumieniem.

Jakżem te noce przemógł,  
które rosną jak trupi obrzęk,  
z ustami ryby otwartymi niemo,  
jakżem w nich zrodził się – olbrzym  
i demon?

\*

Ja jestem demon  
strasznych ekspresów  
rwących po niebie  
w ciemność i przeszłość.

Mam klucz od kuli,  
w której zamknięci,  
szukacie cudów  
martwej pamięci.

Ja jestem demon  
białych lodowców  
wybudowanych  
chmur czarnym owcom.

Ciskam lawiny  
jak dzwonów pęki  
z nieba, jak z gromu  
otwartej ręki.

Ja jestem demon  
złych oceanów,  
konkwistadorów  
w snach zabłąkanych.

Porywam morza,  
rzucam do planet,  
jak lustra grozy  
śmiercią nalane.



W orkanach czasu,  
przepaści ciemnej,  
buchną przestrzenia,  
co kończy się we mnie.

\*

Ja, poszukiwacz ludzi prawdziwych,  
Ja, zaklinacz węzów wijących się nade mną,  
zastygłem w pomnik ze wzniesionym mieczem,  
którym człowieka rozetną czy ciemność?

\* \* \*

Dokąd to jeszcze? Ten cień stoi we mnie  
jak obraz wieczny mego zatracenia,  
rdzewieje tarcza i gorzknieje ziemia  
pod zamyśleniem moim obosiecznym.  
O, bo ja jestem mieczem krzywdy wszelkiej,  
przez moje ręce wyciągnięte we śnie  
wędrują grzechy jak milczące węże  
i wytryskają z palców jako pieśni.  
I czego dotknę, to się łzą pokryje  
jakoby rosą, tylko że tak słoń,  
że się nie pięścią – całą ziemią biję  
w pierś, której nigdy win nie odpuszczono.  
O, bo i jakże odpuścić, że człowiek  
zapomniał głosu mówiąc w bożej mowie.

I gdzie postąpię, pęknie mi pod stopą  
ostatni kamień, a dalej ciemność,  
i jestem jak ten pierwszy człowiek po potopie,  
który zawinił. Więc wtedy nade mną  
też blasku nie ma i w dłoni mi próżno,  
jakby z niej krzyż wyjęto i włożono topór,  
i jestem duszą smutku po ciałach podrózną,  
i jestem sam i ziemi tępy opór.

O, żeby chwila jedna, dzban by dano  
ze zdrojem chłodnym, żeby klątwę zdjęto  
i żeby serce – sercem, a nie raną,  
i żeby droga choć w konaniu – świętą,  
i niebo mię nie skrywa jak ziemi powieka,  
i śniegu nawet nie ma, który mię pokryje,  
tylko tak głosy łzami po omacku ryję  
jak cień, jak cień strudzony, co zgubił człowieka.

6. XII. 1942 r.

## Wina

Wśród drzew, co są jak płaskie, zielone motyle,  
święty Jerzy cwałuje po czerwonej ścieżce  
na koniu, co się wznosi, a za nimi w tyle  
czeka mała dziewczynka, włosy ma niebieskie.

Smok się wydał i oczy błękitne wylupił,  
zanim go dopadł rycerz – trzykroć blaskiem rzucił  
i zginął. Głupi smoku! o rycerzu głupi,  
to wszystko takie krótkie, a już się nie wróci  
ani tobie pełzanie po zaklętych sadach,  
ani tobie modlitwa w czarnych winogradach.  
Truchło leży, paruje z niego zieleń śliska,  
jeszcze się gwiazdki jakieś z łusk przebitych sypią,  
i rycerz zadumany stoi, mieczem błyska,  
tak pół czuje niepokój, a pół gorzką litość.

Cóż to, mała dziewczynko o niebieskich włosach,  
czemu płaczesz? smok leży, zabit twój gnębiciel.  
Nasłuchujesz oddechów jego w nocy głosach?  
Wspominasz to niezdarne, smutne, smocze życie  
i że śpiewałaś czasem jak potok szczęśliwie,  
wsparta na jego miękkiej, wypłowiałej grzywie?

I wraca święty Jerzy tam, gdzie lasu smuga  
kończy się i zaczyna trakt suchego pyłu,  
a na postojach ciemnych marzy mu się długa  
smocza szyja przebita i oczy, co były  
wypukłe i żalosne, i głos, i łzy słyszy,  
i gorzko płacze zbrodni pod sklepieniem ciszy.

*grudzień 1942 r.*

## Wróble

Dzień wróbli i jasności!  
w dzbanuszkach małych ptaszków  
świat się ustał miłością,  
niefrasobliwą łaską.

Na wyciągnięcie ręki  
mam czystość ich, puszystość,  
jakbym dotykał ciebie  
gałęzią ich – wielolistną.

Niebo się ziemi skłania  
leżąc śniegiem na drzewach,  
oczy mrużysz, zasłaniasz,  
piórka w blasku nagrzewasz.

Nie zerwiesz się, nastroszysz  
ciepło ptasiego futra,  
odpowiesz wróblim głosem  
w moją ciemność – malutka.

Bo na tym śniegu ludzie –  
my z ciemnymi sercami.

Ziemia przez nas zabita,  
rzeszą twych ptaków czystych  
módl się za nami!

*2. I. 43 r.*

\* \* \*

### Żonie

Nie stój u ciemnych świata wód,  
gdzie sny mozolne kłębią się i dławia,  
kiedy nad nimi czerwone korabie,  
smoki ogniste i obłoków łódź.

O, nie wywołuj po imieniu zła,  
o, nie wywołuj przed milczącym lustrem,  
tam każde oczy staną mdłe i puste  
i pokalana nocą każda twarz.

Nie szukaj, nie patrz w mroczny grób,  
gdzie ocienione chłodem zgniłej woni  
nawet strzeliste świeczniki jabłoni  
i ciało barbarzyńskie – jak gotycki trup.

Oto się liście z lodyg tęgich rwą,  
jak żywe gwiazdy lecą, jak motyle lśnią  
nad ludzką nędzą ciemną i kaleką  
i dźwięk wydyma kwiaty na kształt złotych trąb.

Poszukaj tam, w splątanych burzach traw,  
w naczyniach roślin napelnionych życiem,  
gdzie w kroplach deszczu czeka cię odbicie  
Boga żywego w lunach żywych barw.

Liście po żyłce odczytaj do dna,  
aż w oczach twoich jak drzewa wytrysną,  
aż duchy światła w powietrzu zawisną.  
Naucz się życia, co przez życie trwa.

Nazwij się w ogniu, w kołysaniu wód,  
w niedosiężalnych mocach powstawania.  
Wtedy nie starczy stów i ukochania —  
poczujesz owoc nieba na końcach ostrych kłów.

28. XII. 42 r.

## Narieczona

Ona stojąc w jeziorze ręce obraca do góry  
i z nich unoszą się z wolna kwiaty i białe motyle,  
kiedy pod kolanami w wodzie mkną ciche chmury,  
niebo się szybko przetacza. Ona się fali przychyła  
i bierze w dłoń otwartą jak w pyszczek różowy kuny  
niebieskie łodyżki wody, które się prężą jak struny  
i grają cicho i miękko:

„W kwiaty nas zamień, panienko”.

Więc ręce zwraca w górę, i krople wypryska wysoko,  
czyni z nich liście i jabłka, węże i srebrne jaszczury;  
zanim opadną znowu, jeszcze podobne są głogom,  
co kwitną. Potem, gdy spadną, przemkną w nich szybko  
chmury.

Ona się z wolna zwróci unosząc z sobą odbicie,  
nie wiedząc jeszcze, czy w sobie, czy w wodnym obrazie  
prawdziwa,

patrzy w kryształ powietrza i widzi dalekie życie,  
raz zapyłone trakty, to znowu potoków grzywę.  
Nie wie i jeszcze czeka. Wtedy na brzegu, w kotlinie,  
rycerz ogromny przystaje i jabłko wyciąga na dłoni,  
błękitne jak kropla nieba. Ona ku niemu płynie,  
powietrze w krąg rozgarniając, co jak pod skrzydłem  
dzwoni.

Potem ich las zamyka. I tylko drzewa dojrzałe  
tak samo stoją w głębinie, jakby najmocniej kochały.

*dn. 2. XII. 42 r.*

\* \* \*

Niebo złote ci otworzę,  
w którym ciszy biała nić  
jak ogromny dźwięków orzech,  
który pęknie, aby żyć  
zielonymi listeczkami,  
śpiewem jezior, zmierzchu graniem,  
aż ukaże jądro mleczne  
ptasi świt.

Ziemię twardą ci przemienię  
w mleczów miękkich płynny lot,  
wyprowadzę z rzeczy cienie,  
które prężą się jak kot,  
futrem iskrząc zwiną wszystko  
w barwy burz, w serduszka listków,  
w deszczów siwy splot.

I powietrza drżące strugi  
jak z anielskiej strzechy dym  
zmienię ci w aleje długie,  
w brzóz przejrzystych śpiewny płyn,  
aż zagrają jak wiolonczel  
żał – różowe światła pnące,  
pszczelich skrzydeł hymn.

Jeno wyjmij mi z tych oczu  
szkło bolesne – obraz dni,  
które czaszki białe toczy  
przez płonące łąki krwi.  
Jeno odmień czas kaleki,  
zakryj groby płaszczem rzeki,  
zetrzyj z włosów pył bitewny,  
tych lat gniewnych czarny pył.

*15. VI. 43 r.*

## Śpiew do snu

Ciało mojego ciała i światło mojej myśli,  
chciałbym, by ci się ogień pełen szelestu przyśnił,  
z którego żółte kwiaty wyplusną, brzózek szelest  
jak sieć, abyś poczuła przy ich lekkości śmielej  
swój lot jak płomyk drżący, bolesny a pragnący,  
by popłynęło w tobie jak szumny strumień słońce.

Ciało mojego ciała i blasku moich pragnień,  
niech ci się we śnie gałąź niebieskiej chmury nagnie  
i niech ci da jak owoc jaskółkę w piersi małe,  
której by w sercu trzepot nauczył, jak kochałem  
i jak ja ciebie ciosam w tej bryle nieobrotnej,  
w swojego ciała drewnie, w myśli swojej samotnej.

Ciało mojego ciała i trwogi mej nadziejo,  
niech ci się we śnie wody przez oczy tocząc – chwieją  
i niechże ci podadzą rybę jak dłoń, co klaszcze,  
byś znała to milczenie, co mnie okrywa płaszczem,  
i niechaj iskry ognia, co w łusce się zapalą,  
mój blask dopełnią w tobie i smutek mój wyżalą.

Nie dałem ci jabłoni ziemskiej, co sytość niesie,  
wyrosłem ja na chmurach jak dzika jabłoń w lesie.  
Ale mam źródło w sercu srebrne jak żywy pieniądz,  
unieś się we śnie, spojrzysz w lustro jego nad ziemią.  
Nie szukaj mnie w słabości, źródła mego nie mijaj,  
nie umiera w nim ciało, dusza wieczność w nim żyje.

22. VI. 43 r.



## Świętość

Począłem cię w marmurach światła  
i w drzewie wonnych sosen,  
moja ty rzeko nieodgadła  
dłutami wiosł.

Potem cię wiodłem z gór mocarnych,  
z przestworów pełnych głosu,  
gdzie noże siklaw śniegi darły  
i dzwonił śpiew jak mosiądz.

Łuskałem cię z jabłek tęgich  
i ziarnem gradu z chmury,  
wiodłem cię z łodyg ruchem ręki  
jak blasku sznury.

I wyciosałem, wyprosiłem,  
sercem łomocąc w dłuto,  
a dłutem w głaz, i mam cię – siło!  
mam cię – pokuto!

Gdzie stąpnę – tętnisz żywą strugą  
i jak organy śpiewasz,  
i widzę jeszcze we śnie długo –  
płynące w tobie drzewa.

A w twojej grzywie iskier złotych  
nocą nurzają krwawe pyski  
rude szakale, ludzie – młoty,  
miecze i ślepiów błyski.

I z nich to rosną nocą w tobie  
kręte gałęzie trupich ramion,  
upiory czarne, serca w grobie,  
co sercom kłamią.

I oto mam cię, rzeko święta,  
jak konar w ciebie wrosły,  
rzeko zbrukana, z chmur poczęta,  
nie odgadniona wiosłem.

*dn. 26. XI. 1942 r.*

## Co jest we mnie

We mnie – góry ciężkie wiatr podnosi,  
ponad chmury – groźne młoty jak ciężary,  
i rozrywa je mocarnym tchem i głosem,  
a zamienia w niepodzielne burz obszary.

Potem morza, które szarpią stropy ciemne,  
gwiazdy z bliska biją we mnie ogniem,  
poryk gromów, co pod stopą rwą podziemne  
bramy blasku – żadnym bramom niepodobne.

I ta ziemia cięższa od orkanów  
we mnie ciasnym z hukiem się obraca  
i rozdarty nią jak głazem rana  
czekam Boga, który nigdy nie powraca.

Albo ptak zimowy w śniegu na mnie woła,  
długie pola pod nim, pola smutku,  
gdzie się cisza zmienia w głuchy łuk kościoła  
i tak w wieczność wchodzę po cichutku.

Albo jeszcze góry cięte strugą  
jak wstrzymany pęd obłoków we mnie wstąpią  
i jak w rzece zamyślenia długiej  
smoki białe w mym odbiciu się wykąpią.

I powrócę między ludzi w gniew i miłość  
w kruchym ciele, w nieostrożnym, w szklanej trumnie,  
tak poczekać w tym, co jest, i w tym, co było,  
całą wieczność tak przeczekać, nim zrozumiem.

*1. I. 1943 r.*

\* \* \*

Oddycha miasto ciemne długimi wiekami,  
spowiada miasto ciemne dawnych grobów żalność;  
rozrąbane żelazem, utulone snami,  
nie nasycone płaczem, nie spełnione chwałą.

Nie wierz, jeżeli ci się ulice pogłębią  
i staną się jak otchłań, w której śmierć się przyśni,  
powierz swą myśl mieniącym się nad nią gołębiom  
i obłokom kwitnącym jak gałęzie wiśni,  
i chmurom, które zawsze te same tam, w górze,  
jak oblicze tęsknoty wykutej w marmurze.

Nie wierz nawet pragnieniom, jeśli cię zawiodą  
nad brzeg spalonych domów i każą ci skoczyć  
przez wytłuczone okno do czarnych ogrodów,  
ażeby na zhańbione prochy – zamknąć oczy.

Ale uwierz tym głazom, co z kamieni bruku  
jak psy zdeptane wyją i krwią ludu chluszczą,  
i rwą się nie pomszczone, i o bramy tłuką.  
O! niech ci one będą jako słowa ustom,  
niech ci wydrapią czułość z wzroku i krew z rany,  
abyś kochając wieki, sam był pokochany.

O pij, pij te ciemności z zawałonych ruder,  
przyjmij w siebie to miasto gromów, które biją,  
tych Kilińskich, Okrzejów, jak oskardy trudu,  
i kiedy runą w bruki – niech w tobie ożyją.

Stań się krzywdą i zemstą, miłością i ludem.  
O, chwyć za miecz historii i uderz! i uderz!

*II. 43 r.*

## Warszawa

Bryła ciemna, gdzie dymy bure,  
poczerniałe twarze pokoleń,  
nie dotknięte miłości chmury,  
przeorane cierpienia role.

Miasto groźne jak obryw trumny.  
Czasem głuchym jak burz maczugą  
zawalone w przepaść i dumne  
jak lew czarny, co kona długo.

Wparło łapy ludzkich rojowisk  
w głuchych ulic rowy wygasłe,  
warcząc czeka i węszy groby  
w nocach krwawych i w gromach jasnych.

Jeszcze przez nie najeźdźców lawa  
jako dym się duszny przewlecze,  
zetnie głowy, posieje trawy  
na miłości, krzywdzie człowieczej.

Jeszcze z wieku w wiek tak się spieni  
krew z ciemnością, a ciemność z brukiem,  
że odrośnie jak grom od ziemi  
i rozewrze niebiosą z hukiem.

Bryła ciemna, miasto pożarne,  
jak lew stary, co kona długo,  
posąg rozwiany w dymy czarne,  
roztraskany czasów maczugą.

I znów ująć dłuto i rydel,  
ciąć w przestrzeni i w ziemi szukać,  
wznosić wieki i pnać żywe  
na pilastrach, formach i łukach.

I w sztandary dać, i bić w kamień,  
aż się lew spod dłoni wykuje,  
aż wykrzesze znużone ramię  
taki głaz, co jak serce czuje.

*10. II. 43 r.*

\* \* \*

Byłeś jak wielkie, stare drzewo,  
narodzie mój jak dąb zuchwały,  
wezbrany ogniem soków żrałych  
jak drzewo wiary, mocy, gniewu.

I jęli ciebie cieśle orać  
i ryć cię rylcem u korzeni,  
żeby twój głos, twój kształt odmienić,  
żeby cię zmienić w sen upiora.

Jęli ci liście drzeć i ścinać,  
byś nagi stał i głowę zginał.

Jęli ci oczy z ognia łupić,  
byś ich nie zmienił wzrokiem w trupy.

Jęli ci ciało w popiół kruszyć,  
by wydrzeć Boga z żywej duszy.

I otoś stanął sam, odarty,  
jak martwa chmura za kratami,  
na pół cierpiący, a pół martwy,  
poryty ogniem, batem, łzami.

W wielości swojej – rozegnany,  
w miłości swojej – jak pień twardy,  
haki pazurów wbiłeś w rany  
swej ziemi. I śniesz sen pogardy.

Lecz kręci się niebiosów zegar  
i czas o tarczę mieczem bije,  
i wstrząśniesz się z poblaskiem nieba,  
posłuchasz serca: serce żyje.

I zmartwychwstaniesz jak Bóg z grobu  
z huraganowym tchem u skroni,  
ramiona ziemi się przed tobą  
otworzą. Ludu mój! Do broni!

*IV. 43 r.*

## Polacy

Oto rozmawiam z cieniami rycerzy  
w głuchej, wygasłej umie mojej ziemi,  
a głosy jak organy rosną i strudzeni,  
tyle wieków zwalając, co nad nimi leżą,  
tyle serc w jeden kamień skutych, nim odwałę,  
jak ciemność stygną we mnie i jak wiatr się żalą.

O! Straszne, straszne dzieje. Widzę morza głuche,  
ziemię z niebem złączoną, a jak step w posuchę,  
i tętent burz pod ziemią, i tłumy wśród ogni  
wijące się jak węże pocięte w kawały,  
i twarze, twarze groźne, o! twarze podobne  
obliczom w śnie zabitych. To znów nagle wały,  
mury, miecze się wznoszą, krzyk rozcina ziemię;  
a potem cisza. Tylko stoją nieme  
posągi bohaterów – trzech lub dwu herosów,  
a popod nimi przepaść ziejie – do dna głosu.

Jeszcze, jeszcze pochody na dalekich łądach,  
gdzie huragany armat rwą na strzępy ziemię,  
na morzach lśniących, gdzie zamknięci w prądach  
mocują się z żyłami golfstromów pod niemi.  
I jeszcze, jeszcze dalej – gdzie stąpną – zwycięscy.  
I tam jeszcze, w ojczyźnie, z dłońmi zgorzałem,  
tam zawsze podeptani, tam zawsze na klęsce  
jak na trumnie orkanu – wieniec serc na ziemi.

I tak mijają lata: rzeki, miasta niosą  
jak czarną krę pożogi odbitą aż do dna,  
i ciemność, ciemność głuchą. Wyje ziemia głodna  
rykiem z pól wyoranym, wydartym z pogromów,  
a na niej stoją widma rozrąbanych domów,  
gdzie na zgwałconych sercach pohańbione ciała,  
jakby się męka boża w ludziach ciałem stała.

O straszne, straszne dzieje. Huczy czas nad nami.  
Kiedy z szubienic dzwony sinych ciał zagrają,  
wywloką nas na bruki pokrajane łzami,  
na oświęcimskie kaźnie i warczącą zgrają  
do gardeł nam przypadną. My będziemy żyli

i tysiąc lat po śmierci w gałęziach szubienic,  
płoszący życie z ślepi tych, co nas zabili.

Ja rozmawiam z cieniami umarłych rycerzy  
nad grobowiskiem ziemi, sam jak krzyż zgorzały,  
i mówię: „O, przeklęty ten, który nie wierzy  
wystygłym prochom ludu i serc żywych grozie;  
bo kto na swojej klęsce – klęska ducha mierzy,  
o! tego nie wybawi płomienisty orzeł.  
Bo kto nie kochał kraju żadnego i nie żył  
choć przez chwilę jego ognia drzeniem,  
choć i w dniu potopu w tę miłość nie wierzył,  
to temu żadna ziemia nie będzie zbawieniem”.

O, wybudujcie domy, o, nazwijcie wreszcie  
Polskę – Polską, nie krzywdą, a miłością – miłością,  
i niechaj bieżą rzeki, a na każdym mieście  
niech słup srebrzystych skrzydeł tryśnie jako kościół,  
kościół ciał odkupienia. Każdy jako posąg  
śródmiejski, nie z marmuru, stoi – sobie mały,  
ale rosnący w kształtach jak jabłka dojrzałe,  
wszyscy razem w kopułę, co odbije głosy  
wałnych tręb archanielskich, jak lawiny nieba,  
by chleb był dla miłości, nie miłość dla chleba,  
by czas był tym rosnącym, a nie krwi łakomym.  
O, wybudujcie domy, jasne, wielkie domy.

23. XII. 42 r.

## Mazowsze

1

Mazowsze. Piasek, Wisła i las.  
Mazowsze moje. Płasko, daleko –  
pod potokami szumiących gwiazd,  
pod sosen rzeką.

Jeszcze tu wczoraj słyszałem trzask:  
salwa jak pokłask wielkiej dłoni.  
Był las. Pochłonał znowu las  
kaski wysokie, kości i konie.

2

Zda mi się, stoi tu jeszcze szereg,  
mur granatowy. Strzały jak baty.  
Czwartego pułku czapy i gwery  
i jak obłoki – dymią armaty.

3

Znowu odetchniesz, grzywo zieleni,  
piasek przesypane się w misach pól  
i usta znowu przylgną do ziemi,  
będą całować długi świst kul.

Wisło, pamiętasz? Lesie, w twych kartach  
widzę ich, stoją – synowie powstań  
w rozdartych bluzach – ziemio uparta —  
– jak drzewa prości.

4

W sercach rozwianych, z hukiem dwururek  
rok sześćdziesiąty trzeci.  
Wiatr czas zawiewa. Miłość to? Życie?  
Płatki ich oczu? Płatki zamieci?

5

Piasku, pamiętasz? Ziemio, pamiętasz?  
Rzemień od broni ramię przecinał,  
twarze, mundury jak popiół święty.  
Wnuków pamiętasz? Światła godzinę?

6



I byłeś wolny, grobie pokoleń.  
Las się zabliznił i piach przywalił.  
Pługi szły, drogi w wielkim mozole,  
zapominały.

7

A potem kraju runęło niebo.  
Tłumy obdarte z serca i z ciała,  
i dymił ogniem każdy kęs chleba,  
i śmierć się stała.

Piasku, pamiętasz? Krew czarna w supły  
związana – ciekła w wielkie mogiły,  
jak złe gałęzie wiły się trupy  
dzieci – i batów skrecone żyły.

Piasku, to tobie szeptali leżąc,  
wracając w ciebie krwi nicią wąską,  
dzieci, kobiety, chłopci, żołnierze:  
„Polsko, odezwij się, Polsko”.

Piasku, pamiętasz? Wisło, przepłyniesz  
szorstkim swym suknem po płaszczu plemion.

Gdy w boju padnę – o, daj mi imię,  
moja ty twarda, żołnierska ziemi.

26. VII. 43 r.

## Do Matki Boskiej

Mario, obłoków ciszo.  
Ciężko nam Boga dźwigać,  
jeszcze ciężej odrosły świat,  
nieba wysokie ciężej; nieba nad nami wiszą  
jak przykazania ciemny kwiat.

Mario, tak bardzo boli, powiedzmy słowem prostym,  
oto wszystko, całą maluczkość serc:  
tu oto świty skazańców, tu oto dzieci, co rosły,  
tu oto, Mario – milcząca nawet przed Bogiem śmierć.

Żeby się jeszcze unieść: o, natchnie ciepła muzyka,  
ale już ziemia za ciężka, to dusze martwe jak ołów,  
ciała i groby za ciężkie – stężałe bryły mozołu,  
dym, płomień nad nami wykwita.  
Cierpienie to kula, koło,  
rzeźbi, lecz toczy się dokąd?

Mario przeczysta, oto są dłonie wyschłe jak ruczaj,  
z których by takie ogrody, zielone wybuchy drzew,  
z których by domy jasności. A teraz oczy nauczaj,  
jak w baldachimy przestrzeni trwogę zamienić i gniew.

Oto maluczkość nasza, śpiewaj, święta, nie ustań: –  
czym wyższa topola śpiewu, tym bliżej dosięgnąć z dna.  
Kończę. Oto już wszystko. Jak wióry wyschłe mam usta,  
nimi, o cicha, ciebie jak wizerunek wycisnąć w twardych  
dniach.

*VIII. 43 r.*

## **Modlitwa do Bogurodzicy**

Któraś wiodła jak bór pomruków  
ducha ziemi tej skutego w zbroi szereg,  
prowadź nocne drogi jego wnuków,  
byśmy milcząc umieli umierać.

Któraś była muzyki deszczem,  
a przejrzysta jak świt i płomień,  
daj nam usta jak obłoki niebieskie,  
które czyste – pod toczącym się gromem.

Która ziemi się uczyłaś przy Bogu,  
w której ziemia jak niebo się stała,  
daj nam z ognia twego pas i ostrogi,  
ale włóż je na człowiecze ciała.

Która serce jak morze rozdarła  
w synu ziemi i synu nieba,  
o, naucz matki nasze,  
jak cierpieć trzeba.

Która jesteś jak nad czarnym lasem  
blask – pogody słonecznej kościół,  
nagnij pochmurną broń naszą,  
gdy zaczniemy walczyć miłością.

*21. III. 44 r.*

\* \* \*

Ziemia jak ognia słup. Tnie bat;  
a nie zna czasu – kamień kruszy,  
na oślepie rzeźbi ciemne dusze  
w zwalistych trumnach lat.

I katorżnicza huczy noc,  
pod niebem skośnym ogień dławi,  
i jęk szubienic jak żurawi  
u studzien pełnych głów i rąk.

A kiedy ryczy butów huk  
po twarzach żon i synów, matek,  
to każdy trup jest żywych bratem,  
co orzą swój ojczysty grób.

My mamy usta – szabli sztych,  
od głodów wyschłe, z grozy sine;  
my mamy oczy – śmierci krzyk –  
celne, co trafią krwawą winę.

My mamy serca – młotów młot,  
co przez stulecia ziemię kuły,  
szybkie jak ostry cios jaskółek  
i orlich skrzydeł – orli lot.

Przez nasze oczy próżne łez  
o ziemi! pływaj polami swemi,  
aż każdy z garścią wolnej ziemi  
będziem szturmować czas, co jest  
jak popiół wiary. Wzniesieni dom  
żelazny – ludom, burzom, snom.

*7. I. 43 r.*

## **Elegia o... [chłopcu polskim]**

Oddzielili cię, syneczku, od snów, co jak motyl drżą,  
haftowali ci, syneczku, smutne oczy rudą krwią,  
malowali krajobrazy w żółte ściegi pożóg,  
wyszywali wisielcami drzew płynące morze.

Wyuczili cię, syneczku, ziemi twej na pamięć,  
gdyś jej ścieżki powycinał żelaznymi łzami.  
Odchowali cię w ciemności, odkarmili bochnem trwóg,  
przemierzyłeś po omacku najwstydlwsze z ludzkich dróg.

I wyszedłeś, jasny synku, z czarną bronią w noc,  
i poczułeś, jak się jeży w dźwięku minut – zło.  
Zanim padłeś, jeszcze ziemię przeżegnałeś ręką.  
Czy to była kula, synku, czy to serce pękło?

*20. III. 1944 r.*

## Poległym

Nocą, gdy ciemność jest jak zwierzę czarne,  
stoi cisza jak lęku drgający biały słup.  
I żyła śmierci bije: na marne – drży – na marne,  
a rano znów się potknę o rozkopany grób.

A dniem stół pusty stoi, zabrakło na nim rąk,  
które by razem ze mną wznosiły kruchą sieć,  
a uporczywe twarze i ciała wokół siedzą,  
jak gdyby tu przykute miłości mroczną wiedzą,  
i głos na ścianach osiadł jak szron i dzwoni: „Leć!”

I każą mi: „Zapomnij!” Więc ręce ciężkie włożyć  
w ciężarny ołów gliny i pracy toczyć głaz,  
więc jeszcze dzień obrócić, jak mokry piach wyłożyć,  
odetchnąć jeszcze śmiercią i jeszcze, jeszcze raz.

A potem znowu noc i słuchać długo trzeba,  
jak schodów trzask się wznosi, jak dławi płótno czarne,  
a w szyby śniegu bicz: „Na marne – drży – na marne!”  
I życie w gardle tkwi jak ostry kamień chleba,  
i czuję was w ciemności bez ziemi i bez nieba.

I wtedy trzeba wierzyć, i każą mi: „Zapomnij!”  
I trzeba martwą broń zamienić w krzyż i płomień...  
Ulice moich dróg są wszystkie w górę – strome,  
i cienka struga krwi jak lont się spala – do mnie.

Żelazna miłość – tak – wybuchło, zgasło, starto,  
pozostał tępy mus, co w pięści tkwi jak gwóźdź.  
Zapomnieć teraz, zdrętwieć, milczeniem tak się struć,  
żeby mi pisklę ognia na dłoni nie umarło.

Odeszli. Noc po nocy. Coraz to krzyk za gardło  
i tylko cisza po nich i dzwoni śniegu słup,  
ale się głupie ciało jak ciężki pień uparło,  
choć rano – ktoś się potknie o mój dymiący grób.

*6. I. 1944 r.*

## Obozy

Gdy na niebo wieczorne spienione gwiazdami  
wypływa ciężki okręt,  
a siwi marynarze wysoko nad nami  
sieci spuszcza w dół,  
my jesteśmy tam w dole jak dzieci samotne,  
co zrywają jagódki z umarłego krzewu  
gorzkie i czarne, gorzkie i czarne owoce,  
kiedy nad nami stoją dni i noce,  
ciemności szumi drzewo.

Błogosławimy dni mleczone i krowie  
i cień lipowy, i liści lot,  
i krew, co płynie po ściętej głowie,  
my zawsze pewni, zawsze gotowi  
na sąd: co dobro, zło.

Błogosławimy straszne pociągi  
odjeżdżające w smutek bez granic –  
z nich jęk jak dym. – To jada ranni,  
uczuc skrecone kabłaki.

Błogosławimy pola bitewne  
i mądrość ludów, i mądrość maszyn,  
krzywdy i wiary, żale rzewne.

Grozo! Ojczyzno nasza!

Wtedy jesteśmy jak dzieci samotne,  
a oczy ciemne i drapieżne są,  
kiedy zapuszcza sieci ciężki okręt  
i chwyta nas za fale wyciągniętych rąk.

Dźwigaliśmy brzemiona, broń czarną dźwigali  
i śpiąc w obozach dusz wspólnych i ciemnych,  
takeśmy z wolna pozapominali  
snów – nie daremnych,  
że uchwyceni przez sieci rybacze,  
porwani w górę i rzućni obok,  
słyszemy: ziemia pokonana płacze,  
ale nie śpiewa zwycięski obłok.

Próżne miłości były nasze ciała,  
bo nie dość było pokochać gromadzie  
tą rozdzieloną na tysiąc miłością,  
co nas prowadzi.

O, bo i nie dość było kochać jedno,  
i tak czujemy, ziemi oddaleni,  
jak nas rozdziera ogromna samotność –  
nieba powolne milczenie.

*19, 20. II. 43 r.*



## Deszcze

Deszcz jak siwe lodygi, szary szum,  
a u okien smutek i konanie.  
Taki deszcz kochasz, taki szelest strun,  
deszcz – życiu zmiłowanie.

Dalekie pociągi jeszcze jadą dalej  
bez ciebie. Cóż? Bez ciebie. Cóż?  
w ogrodzie wód, w jeziora żalu,  
w liście, w aleje szklanych róż.

I czekasz jeszcze? Jeszcze czekasz?  
Deszcz jest jak litość – wszystko zetrze;  
i krew z bojowisk, i człowieka,  
i skamieniałe z trwóg powietrze.

A ty u okien jeszcze marzysz,  
nagrobku smutny. Czasu napis  
spływa po mrocznej, głuchej twarzy,  
może to deszczem, może łzami.

I to, że miłość, a nie taka,  
i to, że nie dość cios bolesny,  
a tylko ciemny jak krzyk ptaka,  
i to, że płacz, a tak cielesny.

I to, że winy niepowrotne,  
a jedna drugą coraz woła,  
i to, jakbyś u wrót kościoła  
widzenie miał jak sen samotne.

I stojąc tak w szeleście szklanym,  
czuję, jak ład odpływa w poszum.  
Odejdą wszyscy ukochani,  
po jednym wszyscy – krzyże niosąc,  
a jeszcze innych deszcz oddali,  
a jeszcze inni w mroku zginą,  
staną za szkłem, co jak ze stali,  
i nie doznani miną, miną.

I przejdą deszcze, zetną deszcze,  
jak kosy ciche i bolesne,

i cień pokryje, cień omyje.  
A tak kochając, walcząc, prosząc  
stanę u źródeł – studni ciemnych,  
w groźnym milczeniu ręce wznosząc;  
jak pies pod pustym biczem głosu.

Nie pokochany, nie zabity,  
nie napelniony, niedorzeczny,  
poczuję deszcz czy płacz serdeczny,  
że wszystko Bogu nadaremno.  
Zostanę sam. Ja sam i ciemność.  
I tylko krople, deszcze,  
deszcze coraz to cichsze, bezbolesne.

*ukończ. 21. II. 43 r.*

## Ballada morska

Po morzu, gdzie ryby jak jaskry  
pryskały w górę i w głąb,  
na korabiu z koralów jasných  
panieneczki błękitne się śmiały,  
na skrętach srebrnych trąb  
loki lotne jak obłoki kołysały  
na przejrzystych muszelkach rąk.

Wyspy ciepłe kwitły jak żółw,  
mewy szybkie, ostre jak igły  
szyły ciszę, to ją cięły na pół  
i u wody przypięte, stygły.

Zaśpiewaliśmy pierwszą pieśń,  
zaśpiewajmy rapsod jak chmura:  
zapadali się ogromni, aż po śmierć  
do ciężkiego dna na czarnych sznurach.

Wyciągały ich dłonie krzepkie  
całych w kuli srebrnej jak lód,  
w dłoniach mieli perły od krwi lepkie,  
oczy mieli smutniejsze niż chłód.

I prosili głosem smukłym: tam  
chcemy na dół wrócić, gdzie śpiewnie  
rosną ciała wygiętych gam  
i szumiące jak ulewa modrzewie.

A na dnie płakali jak dzwonek,  
powracali jak pęcherz wodny  
i milczeniem tylko wiało od nich,  
usta ziemi całowali zielone.

I na ląd wesoły nie zeszli,  
i na dno nie spłynęli jak kamień,  
tylko byli jak wzniesione ramię  
kołyszące się to wzwyż, to w głąb.  
Panienczki błękitne się śmiały  
na łodygach wodnych trąb.

I puściły panienczki jasną sieć,  
jak paluszki ich tak wiotką i jak rtęć,  
wyłowiły, zapłakały, ciemne oczy całowały  
i głęboką w nich aż do dna śmierć.

*6. XII. 1943 r.*

## Bajka

Ludzie prości i zbrojni, więc smutni,  
wchodzili na okręty omszałe;  
niebo grało podobne do lutni  
srebrnej chyba i kwiatem pachniało.

Od uliczek rzeźbionych w cieniu  
szła procesja czy biały świt  
i świergotał jak ptak na ramieniu  
Żywot mądry rosnących lip.

Potem morza dzieliły się, tarły  
szorstką skórą bokiem o bok;  
coś wschodziło, a potem marło,  
nie odgadnąć: przez dzień czy rok.

Gwiazdy były nisko jak gołębie.  
Ludzie smutni nachylali twarz  
i szukali gwiazd prawdziwych w głębi  
z tym uśmiechem, który chyba znasz.

Potem lądy się otwarły jak bramy,  
góry mrucząc prowadziły pod obłok,  
więc rzucali w fale nieba kamień,  
żeby zmierzyć głębie nieba pod sobą.

I na wiatrów rozłożystych wydmach  
sieli drzewek młodziutkich las  
i marzyli złotych dębów widma  
z tym uśmiechem, który chyba znasz.

Aż wyrosły krzepkie i jasne,  
jakby wody przezroczysty płaszcz,  
więc patrzyli jak na serca własne  
z tym uśmiechem, który chyba znasz.

No, i stolarz schylał z wolna głowę  
i wyciosał przez czas niedługi  
dla nich wonne trumny dębowe,  
a dla synów ich dębowe maczugi.  
Więc odeszli. Śpiewał obcy czas.

Więc odeszli przez powietrza białe smugi  
z tym uśmiechem, który dobrze znasz.

23. VI. 44

## **Dzieło dla rąk**

Kiedy się w ludziach miłość śmiercią stała  
i runął na nas grzmiąc ognisty strop,  
błogosławieni ci, co im za mała  
była ta trwoga dla serc i dla rąk.

Kiedy przekłęto wszelki płód człowieczy,  
aby nie cierpiał, aby nie mógł trwać,  
błogosławieni byli ci, co rzeczy  
nazwali nędzą poczętą we łzach.

Kiedy się krwawym szwem zszywały dzieje,  
choć ziemia była jak jaśminów pęk,  
błogosławieni byli ci – nadzieją  
łączący z niebem ton – źródłany dźwięk.

A oto mamy niebios złoty namiot,  
przestrzeń jak morze żywą – a nie szklaną,  
z której powstaje się i schodzi w nią,  
błogosławiającą rękę taką samą,  
pod którą głowy jak łzy w oczach drżą.

A tylko trzeba pojąć głos i hasło,  
bo jeden krok jest jak żołnierza krok,  
kiedy się wstąpi weń, to się znalazło  
Boga dla wiary i dzieło dla rąk.

*V. 1943 r.*

## Lodowisko

Gdzie stanę, widzę słup powietrza,  
od tych oddechów złych zamarzły,  
w którym spojrzenia chłodne gwiazdy  
i ta mijania trwoga wieczna.

Straszne, strzaskane ludzkie wozy,  
ciała bez sumień, ciemne węże,  
gdzie się odwrócę, za mną prężą  
— w zwierciadle lodu – oczy grozy.

I zanim słowo płomieniste  
jak drzewo ptaków tryśnie w niebo,  
za mną się ciała ich kolebią  
i spada głos jak zlekły listek.

I zanim dłoń uniosę w górę  
i chmur wędrówkę kreślić pocznę,  
widzę te oczy złe, wyrocznie  
i te spojrzenia, co jak sznury.

I pobojowisk węzowiska,  
i mrówki ciemnych słów oblepią,  
i zamarznęta przestrzeń, niebo,  
i droga szklana stoi, śliska.

A jeszcze widzę krajobrazy,  
gdy się unoszą jako domy  
po tych wybuchach – niewidome,  
a w krajobrazach zimne twarze.

I czuję, jak mi dłoń przymarzła  
jedna z płomieniem u niebiosów,  
a druga w ziemi – próżna głosu,  
jak wbita w glinę spadła gwiazda.

*28. II. 43 r.*



## Ciemna miłość

Leżymy w łożu mrocznym jak na dnie strumienia  
wyschłego. Włosy długie, poplątane wioną,  
rozdzielają się, łączą jak smugi cierpienia  
i niosą się jak ścieżki ku dalekim stronom.  
Tu u nas zła tarnina rośnie tak po brzegu,  
biała czasem, a czasem jest jak rozpacz dłoni,  
i armie ciężko dzwonią jak wykute w śniegu,  
w księżycach jasnych sunąc. Krzyk, parskanie koni  
i czołgów ryk podziemny – jakby wydzierały  
dusz trzepot nieostrożnie pobratany z ciałem.

Więc nasze ciała długie splecione jak palce  
w nocnym konaniu cierpną i wiatr nam na twarze  
niesie płatki tarniny odstrzelone w walce,  
i leżą tak jak piętna pośmiertne, na miłość  
strącone, aby wspomnieć, że się nic nie śniło,  
bo oczy były otwarte i w śnie.  
I źródła są w powietrzu, i czujemy je —  
to są pociski krwi, co jeszcze trysną,  
i łkania są w powietrzu – metalowy jęk,  
który się w ogniu spełnia ulewą ziarnistą.  
I boleść, którą kiedyś nazwiemy ojczyzną,  
co teraz jest jak dziecko, które nam we śnie  
umiera. Jeszcze oddech jego z ziemi drży,  
bo to był mej miłości pierworodny syn.

A potem długa noc. I zrywam się z ciemności  
bez zbroi, nagi, taki, jakim z ziemi wstał,  
rozpleść łodygi naszych niespełnionych ciał  
i być żołnierzem nocnym wiary bez litości.  
I nim odejdę jeszcze, nim się broń rozpali,  
widzę, jak się ten obłok twego ciała żali.

Bo ciemne miłowanie jest na dnie człowieczym,  
które pragnących traci i czystość rozdziera,  
a które się do dłoni bierze razem z mieczem,  
lecz się w nim cierpi długo, chociaż nie umiera.  
I znów widzimy miasta płonące i dymy,  
co się powoli wznoszą pnąc na stopnie niebios,  
i szubieniczne drzewa skrzypią, i z daleka  
bicz strzela i rozcina z ziemią wraz – człowieka.

A nad tym krzewy kwitną. Z pąków zielonkawe  
chmury płyną. Dojrzałość lekko się przelewa.  
Widnokretem o świtach ciągną kluczem drzewa.  
I ludzie ci żałośni, w nieobeschłych gruzach,  
pod namiotami cyrków, w świergocie karuzel,  
unoszą się jak łachman, wśród dymu śpiew niosą  
weseli. Ja wyzwanie szerniałym niebiosom.

Długie, suche koryto – jest to dno strumienia,  
gdzie leżymy jak kamień pod kurzawą gwiazd.  
Tyle jeszcze milczenia strasznego jest w ziemi,  
że chyba go wystarczy na niejedną śmierć!  
Módlmy się, módlmy słowami ciemnymi!  
Siejmy, o, siejmy, chociaż ziarnem serc!

*3. V. 1943 r.*

## Spojrzenie

Nic nie powróci. Oto czasy  
już zapomniane; tylko w lustrach  
zsiada się ciemność w moje własne  
odbicia – jakże zła i pusta.

O znam, na pamięć znam i nie chcę  
powtórzyć, naprzód znać nie mogę  
moich postaci. Tak umieram  
z pół-objawionym w ustach Bogiem.

I teraz znów siedzimy kołem,  
i planet dudni deszcz – o mury,  
i ciężki wzrok jak sznur nad stołem,  
i stoją ciszy chmury.

I jeden z nas – to jestem ja,  
którym pokochał. Świat mi rozkwitł  
jak wielki obłok, ogień w snach  
i tak jak drzewo jestem – prosty.

A drugi z nas – to jestem ja,  
którym nienawiść drżącą począł,  
i nóż mi błyska, to nie łza,  
z drętwych jak woda oczu.

A trzeci z nas – to jestem ja  
odbity w wypłakanych łzach,  
i ból mój jest jak wielka ciemność.  
I czwarty ten, którego znam,  
który nauczę znów pokory  
te moje czasy nadaremne  
i serce moje bardzo chore  
na śmierć, która się lęgnie we mnie.

*18. X. 43 r.*

## Dwie miłości

Więc pokochałeś kruche, ciepłe ciało,  
które się w formach słowicznych ustało,  
jak mleko płynie w szklanym smukłym dzbanie,  
skrzypiec ma smutek i roślin śpiewanie.  
Więc pokochałeś je. Jak ruczaj sobie  
przed oczy stawiasz, aby twarze obie:  
i ta odbita, i twoja prawdziwa,  
były jak jeden ruch, co poukrywa  
ziemię jak pożar i niebo jak jaśmin,  
na które jedno serce jest małe i ciasne.

I pokochałeś jeszcze ziemię grozy  
z ognistym śladem wielkich kroków bożych,  
ziemię, gdzie bracia popieleją z tobą,  
gdzie śmierć i wielkość jak dwa gromy obok  
stoją u skroni i skrzydłami biją  
tym, co umarli, i tym, którzy żyją.  
Więc pokochałeś jej rzek bicz srebrzysty  
i białe pióra mazowieckiej Wisły,  
i góry ciężkie jak chmury na ziemi,  
i ludzi skutych – i tak żyjesz niemi.

I kiedy z szablą rozpaloną stoisz  
u huraganów ostatniego boju,  
i kiedy broń jak życie w dłoni ważysz,  
a nie masz łyzy na sercu i na twarzy,  
gdy rzucasz ciało jak puchy świetliste,  
wiotkie jak śpiew, a z nim odbicie czyste,  
by mieć twarz jedną nie odbitą w ciszy,  
napiętnowaną śmierci czarnym krzyżem,  
myślisz, że z Boga musi być ta miłość,  
dla której młodość w grobie się prześniło.

22. V. 1943 r.

## Zwycięzcy

Wiatr szeroki nam czoła obliże,  
jak lew westchnie i przestrzeń wydmie  
ponad nami. A jeszcze wyżej  
łuna świśnie ogromnym skrzydłem.

Głowy nasze – owoc upalny,  
rozszałałe włosów płomienie  
deszcz obmyje jędrny i walny,  
aż się do snu schylą na ziemię.

Jeszcze chleby, jabłka jak księżyc  
stół sosnowy zalegną kołem,  
dłonie szorstkie, tak nieporęczne,  
chleb przełamię z bożym aniołem.

A na skronie, gdy sen nas stłumi,  
gdy będziemy znów ludzie prości,  
blask nam spadnie i ten zrozumie,  
żeśmy w wierze doszli miłości.

*15. V. 1943 r.*

## Ballada o trzech królach

Tajemnicę przesypując w sobie  
jak w zamkniętej kadzi ziarno,  
jechali trzej królowie  
przez ziemię rudą i skwarną.

Wielbłąd kołysał jak maszt,  
a piasek podobny do wody;  
i myślał król: „Jestem młody,  
a nie minął mnie wielki czas.

I zobaczę w purpurze rubinów  
ogień, siły magiczny blask;  
może stanę się mocniejszy od czynów  
przez ten jeden, jedyny raz”.

Tygrys przeżył siłę jak wąż,  
mięśnie w puchu grały jak harfa.  
Na tygrysie jechał drugi mąż,  
siwą grzywę w zamyśleniu szarpał.

„Teraz – myślał – po latach tylu,  
gdy zobaczę, jak płomienie cudu drżą,  
moje czary skarbów mi uchylą,  
moje wróżby nabiegną krwią.

Ziemia pełna jak złoty orzech,  
pęknie na niej skorupy gład,  
usta jaskiń diamentowych otworzy  
przez ten jeden, jedyny raz”.

Trzeci król na rybie  
wielkiej jak wyspa jechał  
przez stepy podobne szybie  
błękitnej pod wiatru miechem.

Nucił: „Po latach stu  
kwiat początku i końca ogień  
w jedno koło związanych nut  
gdy zobaczę, sam się stanę Bogiem.

W suche liście moich ciemnych ksiąg  
spłynie mądrość odwiecznych gwiazd  
i osiadzie w misie moich rąk  
przez ten jeden, jedyny raz".

A w pałacach na łądach zielonych,  
co jak sukno wzburzonej fali,  
mieli króle trzej błękitne dzwony,  
w których serca swe na co dzień chowali.

A tak śpiesznie biegli, że w pośpiechu  
wzięli tylko myśli pełne grzechu.

Więc ukłękli trzej królowie zadziwieni,  
jak trzy słupy złocistego pyłu,  
nie widzący, że się serca trzy po ziemi  
wlokły z nimi jak psy smutne z tyłu.

I spojrzeli nagle wszyscy trzej,  
gdzie dzieciątko jak kropla światła,  
i ujrzeli jak w pękniętych zwierciadłach,  
w sobie – czarny, huczący lej.

I poczuli nagle serca trzy,  
co jak pięści stężały od żalu.

Więc już w wielkim pokoju wracali,  
kołysani przez zwierzęta jak przez sny.

Wielbłąd z wolna huśtał jak maszt;  
tygrys cicho jak morze mruczał;  
ryba smugą powietrza szła.

I płynęło, i szumiało w nich jak ruczaj.  
Powracali, pośpieszali z wysokości  
trzej królowie nauczeni miłości.

*9. III. 44 r.*

## **Piosenka śnieżna żołnierza**

Śnieg wieje – ciszy gołąb –  
w miast wyspy lekkie.  
Szumią miękkie powieki,  
kręci się białe koło.

Zapomniane już, zapomniane  
to, co kochać było – za wiele:  
panny smukłe, wiatru fontanny,  
u jeziora uśpiony jeleń.

Przeżegnane krzyżem i ogniem  
śpiewne kraje, gotyk na szybach,  
zapomniane te, co szły do mnie,  
smoki, kwiaty, świecące ryby.

Zapomniane będą i czasy,  
które miłość jak śnieg wypełnia.  
Na chmur ciemnych spiętrzone lasy  
pnie się śniegu szumiąca wełna.

Pożegnane już, zapomniane.  
Śnieg jak dłonią zasłoni oczy.  
Słyszać jeszcze – nim chłód zostanie –  
jak za nami pułk biały kroczy.

*14. I. 1944 r.*



## Sen

Rybak z rzeki przejrzystej długo wiosłem łuskał  
ryby twarde jak orzech, zielone i białe,  
które się z wolna w martwe księżyce zmieniały.  
Czas się wstrzymał i trzepot usechł, usnął, ustał.

A rybak wiosłem płaskim przez sen gładził pióra  
łabędzich skrętów rzeki, aż się w ciszy przemian  
zrąb wody urwał nagle jak spieniona góra  
i poczęły się chmury, gdy opadła ziemia.

Więc w ciemności ogromnej, co jak sen olbrzyma  
poczęła w nim oddychać, widział światów koła.  
Wiał chłód. Szron gwiazd osiadał na dnie. Była zima,  
szumiący mróz wieczności. Ktoś go z głębi wołał.

I rybak dłoń nawykłą kładł na ostre smugi  
rozkwitającej sieci i ciągnął milczenie,  
pełne kształtów zastygłych, ciężkich jak maczugi.  
Zdało mu się, że dźwignią niebios unióśł ziemię.

I dobył czas warczący w kuli pełnej ognia,  
co się jak wąż rozciągał i kurczył jak batog,  
aż porozcinał, wchłonał miasta, twarze, wieki,  
aż wielkie zapomnienie zeszło. Śpiew ulatał.

Był to głos Boga. Rybak u powieki  
poczuł kryształ miłości. Zbudził się na łodzi  
i wielki słup ognisty w oczach – wiatr mu chłodził.  
I zapragnął znów Boga – i stał się człowiekiem.

*16-17. XII. 1943 r.*

## Westchnienie

Deszczu srebrne gałązki rosną  
jak gotyckich krużganków motyl,  
ptaki dzwonki zielone niosą  
na przejrzystych wstążeczkach lotu.

Jeden uśmiech dziecinnych łądów  
błękitniejszy mi jest niż woda,  
bo mnie żłobi niedobra mądrość,  
bo się kończy nieżywa młodość.

Kurant jeszcze z pnącej się wieży,  
wzgórz zielonych faluje dywan  
i poznaję miasto w obłokach,  
nie wiem tylko, jak się nazywa.

Z tych wysokich przelotów we śnie  
ludzie mali byli jak kwiaty.  
Przebudzone o śmierć za wcześnie,  
o, rzeźbione w kolorach światy!

Norymbergi, o Awiniony,  
rączką dziecka rzeźbione w ciszy,  
jeszcze sobie szum wasz przypomnę,  
bo za rok już go nie usłyszę.

*23 kwiecień 1944 r.*

\* \* \*

Tych miłości, które z nami  
na strumieniach białych płyną,  
co jak chmury nad głowami  
czasem każą zapominać,  
tych miłości jak zwierzęta,  
co wracają w las od ludzi,  
wężąc z twarzą wyciągniętą,  
zanim śmierć ich nie ostudzi,  
tych miłości, które niosą  
sok z korzeni w słońce liściem,  
co jak puch dziewczęcych włosów  
lekką rosną ku niebiosom,  
nie wydepczą nienawiści.

Tych miłości, o, za wiele,  
choćż ziemia jeszcze twarda,  
nad nią zawsze śpiewu szelest,  
bo cóż ziemskość? – śmiech, pogarda,  
bo cóż zbrodnia? – Tylko mocniej  
za bijące morze sumień  
kochać każe, za ślad głupi  
jak ten olbrzym, co się upił,  
co gdy wstanie, to zrozumie.  
W nas, co jak pomników głązy,  
z tych miłości mocno rośnie  
przez te czasy, nad te czasy,  
ponad nami – czas miłości.

27. I. 44

\* \* \*

Nie to, co mi się śniło,  
ale com krwią przepłakał,  
to widzę, gdy się schylę  
nad wodą, w której ptaki  
kreślą węzły daremne,  
które nie zwiążą bólu  
ani mi świat utulą,  
ale się płaczą ciemne,  
ale mi grób rozwina  
i rozwijając – miną.

Ten świat, gdzie widzieć chciałem  
roślinnych linii mądrość,  
gdzie kształty ukochałem  
i duchy wszystkich rzeczy,  
ten świat, co miążdżąc leczy,  
a ginie razem z ciałem,  
ten świat czy mi się wyśnił  
jak biała gałąź wiśni,  
jak tylko wiew anioła,  
a potem krwią się polał?

Czym ja rycerzy widział  
tam tylko, gdzie się buta  
jak chmura ciężka toczy,  
czym ja miłości patrzył  
przez snem zasnute oczy?  
A teraz świat-pokuta  
wystąpił rzeką z brzegów  
i czy tak znów nauczę  
mądrości albo chłodu  
niewypaloną młodość?

Trzeba było miłości  
po jednej tak odrywać,  
pragnienia krwią nazywać,  
przywykać tak do rzeczy,  
jak mi je Bóg zaprzeczył.  
Aby się stała żywa  
ziemia ciężka jak zwierzę,  
w którą już teraz wierzę,

której bólem nie przegnę,  
miłością ledwo sięgnę.

Trzeba mi było w ludziach  
znajdować gład po gładzie,  
aby mnie trzykroć raził  
blask niebiosów ogromnych,  
abym się w nocy budził,  
w powietrzu szukał, wołał  
płonących ust anioła.

Trzeba mi było jeszcze,  
żem wierzył w ludzkie czyny,  
aby opadły deszcze  
od noży bardziej ostre,  
aby porosły winy  
jak suche, gorzkie osty,  
abym jak wiór ognisty  
spłonął w oddechu nocy,  
bym teraz rozwarł oczy,  
bym teraz wierzyć umiał  
w to, co lżejsze niż ziemia,  
w to, co się nie przemienia.

*23 kwiecień 1944 r.*

## Rodzicom

A otóż i macie wszystko.  
Byłem jak lipy szelest,  
na imię mi było Krzysztof,  
i jeszcze ciało – to tak niewiele.

I po kolana brodząc w blasku  
ja miałem jak święty przenosić Pana  
przez rzekę zwierząt, ludzi, piasku,  
w ziemi brnąc po kolana.

Po co imię takie dziecinie?  
Po co, matko, taki skrzydeł pokrój?  
Taka walka, ojczy, po co – takiej winie?  
Od łez ziemi krwawo mi, mokro.

Myślałaś, matko: „On uniesie,  
on nazwie, co boli, wytłumaczy,  
podźwignie, co upadło we mnie, kwiecie  
— mówiłaś – rozkwitaj ogniem znaczeń”.

Ojczy, na wojnie twardo.  
Mówiłaś pragnąc, za ziemię cierpiąc:  
„Nie poznasz człowieczej pogardy,  
udźwigniesz sławę ciężką”.

I po cóż wiara taka dziecinie,  
po cóż dziedzictwo jak płomieni dom?  
Zanim dwadzieścia lat minie,  
umrze mu życie w złoceniach rąk.

A po cóż myśl taka jak sosna,  
za wysoko głowica, kiedy pień tną.  
A droga jakże tak prosta,  
gdy serce niezdarne – proch.

Nie umiem, matko, nazwać, nazbyt boli,  
nazbyt mocno śmierć uderza zewsząd.  
Miłość, matko – już nie wiem, czy jest.  
Nozdrza rozdęte z daleka Boga wietrzą.

Miłość – cóż zrodzi – nienawiść, struny łez.

Ojcze, broń dźwigam pod kurtką,  
po nocach ciemno – walczę, wiary wędną.  
Ojcze – jak tobie – prócz wolności może i dzieło,  
może i wszystko jedno.

Dzień czy noc – matko, ojcze – jeszcze ustoję  
w trzaskawicach palb, ja, żołnierz, poeta, czasu kurz.  
Pójdę dalej – to od was mam: śmierci się nie boję,  
dalej niosąc naręcza pragnień jak spalonych róż.

*30. VII. 43 r.*

\* \* \*

Których nam nikt nie wynagrodzi  
i których nic nam nie zastąpi,  
lata wy straszne, lata wąskie  
jak dłonie śmierci w dniu narodzin.

Powiedziałyście więcej nawet  
niż rudych burz ogromne wstęgi,  
jak ludzkie ręce złych demonów  
siejące w gruzach gorzką sławę.

Wzięłyście nam, co najpiękniejsze,  
a zostawiły to, co z gromu,  
aby tym dziksze i smutniejsze  
serca – jak krzyż na pustym domu.

Lata, o moje straszne lata,  
nauczyłyście wy nas wierzyć  
i to był kostur nam na drogę,  
i z nim się resztę burz przemierzy.

Których nam nikt nie wynagrodzi  
i których nic nam nie zastąpi,  
lata – ojczyzno złej młodości,  
trudnej starości dniu narodzin.

Bogu podamy w końcu dłonie  
spalone skrzydłem antychrysta,  
i on zrozumie, że ta młodość  
w tej grozie jedna była czysta.

24. III. 44 r.



## Z głową na karabinie

Nocą słyszę, jak coraz bliżej  
drząc i grając krąg się zaciska.  
A mnie przecież zdrój rzeźbił chyży,  
wyhuśtała mnie chmur kołyska.

A mnie przecież wody szerokie  
na dźwigarach swych niosły płatki  
bzu dzikiego; bujne obłoki  
były dla mnie jak uśmiech matki.

Krąg powolny dzień czy noc krąży,  
ostrzem świszcząc tnie już przy ustach,  
a mnie przecież tak jak i innym  
ziemia rosła tęga – nie pusta.

I mnie przecież jak dymu laska  
wytryskała gołębia młodość;  
teraz na dnie śmierci wyrastam  
ja – syn dziki mego narodu.

Krąg jak nożem z wolna rozcina,  
przetnie światło, zanim dzień minie,  
a ja prześpię czas wielkiej rzeźby  
z głową ciężką na karabinie.

Obskoczony przez zdarzeń zamęt,  
kręgiem ostrym rozdarty na pół,  
głowę rzucę pod wiatr jak granat,  
piersi zgniecie czas czarną łapą;

bo to była życia nieśmiałość,  
a odwaga – gdy śmiercią niosło.  
Umrzeć przyjdzie, gdy się kochało  
wielkie sprawy głupią miłością.

*4 grudzień 1943 r.*

\* \* \*

Gdy broń dymiącą z dłoni wyjmę  
i grzbiet jak pręt rozgrzany stygnie,  
niech mi nie kładą gwiazd na skronie  
i pomnik niech nie staje przy mnie.

Bo przecież trzeba znów pokochać.  
Palce mam – każdy czarną lufą,  
co zabić umie. – Teraz nimi  
grać trzeba, i to grać do słuchu.

Bo przecież trzeba znów miłować.  
Oczy – granaty pełne śmierci,  
a tu by trzeba w ludzi spojrzeć  
i tak, by Boga dojrzyć w piersi.

Bo przecież trzeba czas przemienić,  
a tutaj ciemna we mnie siła,  
i trzeba blaskiem kazać ziemi,  
by z sercem razem jak krew biła.

Wróć, rzemieślnik skamieniały,  
pod dach rozległy jasnych pogód,  
do rzeźb swych – tych, co już się stały  
i tych, co stać się jeszcze mogą.

I dawne będą wzrok obracać –  
niezdarne słupy pełne burzy,  
i te, których nie tknęła praca  
jak oddech niewidzialnej róży.

I pośród nich jakże ja stanę  
z garścią, co tylko strzelać umie,  
z wiarą, co śmiercią przeorana,  
z sercem, co nic już nie rozumie?

Ale jeżeli spalił młodość,  
jak palą kraje w wielkim hymnie,  
to nie zapomni czas narodu,  
a Bóg jak płomień stanie przy mnie.

I wtedy, wtedy liść mi każdy  
albo mi wróbel z nieba sfrunie  
i jego głos – już głosem prawdy,  
i poznam głos, poczuję: umiem.

I szmer ptaszęcy mi przypomni,  
że znałem miłość, i obudzi  
zdrętwiałe dłonie – jak lodygi,  
i pocznę kwiaty, gwiazdy, ludzi,

i ziemię w morza szum przemienię,  
i drzewa w zwierząt linie miękkie,  
i wtedy spadnie mi na rękę  
w pieśni odrosła – wierna ziemia.

*9. III. 1944 r.*

## Pokolenie

Wiatr drzewa spienia. Ziemia dojrzała.  
Kłosa brzuch ciężki w górę unoszą  
i tylko chmury – palcom czy włosom  
podobne – suną drapieżnie w mrok.

Ziemia owoców pełna po brzegi  
kipi sytością jak wielka misa.  
Tylko ze świerków na polu zwisa  
głowa obcięta straszac jak krzyk.

Kwiaty to krople miodu – tryskają  
ściśnięte ziemią, co tak nabrzmiała,  
pod tym jak korzeń skręcone ciała,  
żywcem wtłoczone pod ciemny strop.

Ogromne nieba suną z warkotem.  
Ludzie w snach ciężkich jak w klatkach krzyczą.  
Usta ściśnięte mamy, twarz wilczą,  
czuwając w dzień, słuchając w noc.

Pod ziemią drążą strumyki – słysząc –  
krew tak nabiera w żyłach milczenia,  
ciągną korzenie krew, z liści pada  
rosa czerwona. I przestrzeń wzdycha.

Nas nauczono. Nie ma litości.  
Po nocach śni się brat, który zginął,  
któremu oczy żywcem wykluto,  
któremu kości kijem złamano;  
i draży ciężko bolesne dłuto,  
nadyma oczy jak bąble – krew.

Nas nauczono. Nie ma sumienia.  
W jamach żyjemy strachem zaryci,  
w grozie drążymy mroczne miłości,  
własne posągi – źli troglodyci.

Nas nauczono. Nie ma miłości.  
Jakże nam jeszcze uciekać w mrok  
przed żaglem nozdrzy wężących nas,  
przed siecią wzdętą kijów i rąk,

kiedy nie wrócą matki ni dzieci  
w pustego serca rozpruty strąk.

Nas nauczono. Trzeba zapomnieć,  
żeby nie umrzeć rojąc to wszystko.  
Wstajemy nocą. Ciemno jest, ślisko.  
Szukamy serca – bierzemy w rękę,  
nasłuchujemy: wygaśnie męka,  
ale zostanie kamień – tak – głaz.

I tak staniemy na wozach, czołgach,  
na samolotach, na rumowisku,  
gdzie po nas wąż się ciszy przeczołga,  
gdzie zimny potop omyje nas,  
nie wiedząc: stoi czy płynie czas.  
Jak obce miasta z głębin kopane,  
popielejące ludzkie pokłady  
na wznak leżące, stojące wzwyż,  
nie wiedząc, czy my karty iliady  
rzeźbione ogniem w błyszczącym złocie,  
czy nam postawią, z litości chociaż,  
nad grobem krzyż.

*22. VII. 43 r.*

## Z lasu

Las nocą rośnie jak jezior poszum.  
Droga kołysze we mchu, we mchu.  
Ciężkie kolumny mroku się wznoszą.  
Otchłanie puste z ciemności płoszą  
krzyk zły, wysoki jak ze snu.

A dołem potok ludzi i wozów  
i broni chrzęst we mgle, we mgle.  
Spod stóp jak morze wydęte grozą  
nieujarzmiona piętrzy się ziemia  
i głosy ciemne leżą w przestrzeniach  
jak to, co czeka obce i złe.

Żołnierze smukli. Twarzyczki jasne,  
a moce ciemne trą się i gniotą,  
lądy się łamią, sypie się złoto  
i chyba pancierz ziemi za ciasny  
pęka, rozsadza i grzmi, i grzmi.

Twarzyczki jasne! na widnokręgach  
armie jak cęgi gną się i kruszą.  
O moi chłopcy, jakże nam światy  
odkupić jedną rozdartą duszą?

Kochać, a to się wydaje mało,  
ginać – to słabość tylko wyzwolić,  
bo nie nadaża chłopięce ciało,  
a ciemność stoi i grzmi, i grzmi.

Las nocą rośnie. Otchłań otwiera  
usta ogromne, chłonie i ssie.  
Ta tak jak dziecko kiedy umiera  
i tak jak ojciec, który żyć musi.  
Przeszli, przepadli; dym tylko dusi  
i krzyk wysoki we mgle, we mgle.

27. VI. 44 r.

\* \* \*

Gdy za powietrza zasłoną dłoń pocznie kształty fałdować  
i czuje się wielkie ptaki rosnące za chmur kwiatami,  
zmiersch schodzi lekko. A ona świeci u okna głową  
jasną jak listek światła i śpiewa piosenkę ciszy.

Długą, wijącą się wstęgą głos ciepły w powietrzu stygnie,  
aż jego dosięgnie w zmroku i szept przy ustach usłyszy.  
„Kochany” – szumi piosenka i głowę owija mu, dzwoni  
jak włosów miękkich smuga, lilie z niej pachną tak mocno,  
że on, pochylony nad śmiercią, zaciska palce na broni,  
wstaje i jeszcze czarny od pyłu bitwy – czuje,  
że skrzypce grają w nim cicho, więc ostrożnie, powoli,  
jakby po nici światła, przez morze szumiące zmroku  
i coraz bliższa jest miękkość podobna do białych obłoków,  
aż się dopełnia przestrzeń i czuje jej głosik miękki  
stojący w ciszy olbrzymiej na wyciągnięcie ręki.  
„Kochany” – szumi piosenka, więc wtedy obejmą ramiona  
więcej, niż objąć można kochając jedno ciało.  
Dłoń wielka kształty fałduje za nieba czarną zasłoną  
i kreśli na niej zwierzęta linią drżącą i białą.

A potem świt się rozlewa. Broń w kącie ostygła i czeka.  
Pnie się wąż biały milczenia, przeciągły wydaje syk.  
I wtedy budzą się płacząc, bo strzały pękają z daleka,  
bo śnili, że dziecko poczęli całe czerwone od krwi.

*13. VII. 44 r.*

# **POEMATY**



## Wesele poety

Poemat

Basi

### Ś p i e w I

Co się zdarzy przy drodze – nie wraca,  
i to, co w wieczność odchodzi – ginie.  
Nie płacz, nie płacz, zawsze pozostaje  
urojona podróż po obłokach.  
Nie płacz, zawsze jeszcze zostanie  
tabun drzew niby masztów ze złota,  
jeszcze pragnień w powietrzu śpiewanie,  
jeszcze w trawach wędrówka zostanie  
albo grób – z niego jodłą wyfruniesz.

### Ś p i e w II

Może przeminą gody ludzkie,  
gody burzom płomieni podobne,  
ale to, co w nich ptakiem zostało,  
pozostało i będzie wołać  
jak na drzewie, jak w gałęziach twoich,  
które z kory zielonej obedrze  
człek lub wiatr żelaznym obojem,  
albo nawet mijając je zetrze  
jakiś z lodu błękitne powietrze,  
ale to, co w nim ptakiem zostało,  
to jest dusza nad prochu ciało.

### Ś p i e w III

Nie zapomnisz, nie zapomnisz skał,  
bo się skałą w tobie zaśpiew stał,  
bo gdy kochasz, a kochasz przez przestrzeń,  
choć tak blisko, żeś się morzem złał,  
toś wrysował się ogniem w powietrze  
i nie zejdzie, ale będzie trwał  
ten korowód, w którym coraz inny,  
malowany na chmurze i wodzie,  
jakby ty w twoich cieni pochodzie  
tak w powietrzu zastygniesz płynny

i choć gwiazdą byś nawet grał,  
pozostaniesz, nie zapomnisz skał.

## D o m p o e t y

### I

Tam jest zawsze jesień,  
pod krużgankiem drzew  
zbiera złote jabłka  
różowawy lew.  
Tam jest zawsze zima,  
w chmur lodowy łuk  
modry łoś unosi  
gałąź białych snów.  
Tam jest zawsze wiosna,  
na dymiącą ruń  
ptak zielony zrzuca  
skrzydła rudych łun.  
Tam jest zawsze lato,  
od zmarszczonych rzek  
żółty niedźwiedź zwraca  
ryty w miodzie łeb.

### II

Oto dźwierze wiatrem rozwarte na przestrzał,  
kute w ciężkim metalu powietrza,  
ponad nimi dzwony liliowe, nad niemi  
drzew korony jak zielone ręce ziemi.  
A nad furta chodzi niby paw  
herb w koronie z purpurowych traw.  
Wozem ani karetą tam nie zajedziesz,  
bo do dworu nie droga – strumień wiedzie,  
po nim złote łabędzie – w ich biegu  
sercem spłyniesz – i staniesz na brzegu.

### III

Wtedy będzie jakby kniei płynność,  
pół-zielona, a pół-brązowa,  
która z wolna pod wzrokiem się rusza  
żółtym puchem leżących tam zwierząt.  
Więc niedźwiedzie łagodne unoszą  
złotą mądrość dojrzałych głów,  
więc jelenie, więc wilki i sarny,  
porastają lawinami brzegi  
i czekają milczącym szeregiem  
na twój miękki spokój zapomnienia.  
I jak z arką płyną za domem

pod skupionym słońcem wszystkich pór,  
a czas przez nie przepływa i szronem  
stygnie z wolna na ich wiecznym śnie.

#### IV

Dom jest jasny, zbudowany z blasku,  
jak powietrza bańka, która w wiecierz  
księżycowym rybakom uwięzła  
i ma ściany jakby z roślin i światła  
i z jeziora pułap czy zwierciadła,  
które gwiazdy odbijając wróży  
do muzyki podobne i róży.

#### V

Tam się wiedzie miłość wszechstworzeniu  
jak łodyga różowego zioła,  
która rośnie w takim zamyśleniu,  
że podobna jest sklepieniu kościoła  
w stylu ptaków, a te wkoło licząc  
krople głosu – są harfą słowiczą.

#### O t w a r c i e

Już wiał wiatr trzy razy, a zatem  
most zwodzony zieleni opada  
i w wierzeje przechodzą kwiaty,  
sny i ludzie, zwierzęta i łuny,  
a nad nimi ptaki ciche wieją  
jak w milczeniu zamknięte nadzieją.

O witajcie! kapele cykad  
grzmia, w powietrzu kując kopyły,  
noc w girlandy ustrojona dzwoni,  
a na przedzie, wśród zielonych koni,  
widzę dzban niosącego Wodnika.  
Za nim smoki purpurowe suną,  
na nich ludzie, którym Pismo mówi:  
„Gdy tysiączne ominiesz zaklęcie,  
na okrutnym smoku jeździć będziesz”.

#### P o w i t a n i e

„Gdzie on?” – wszyscy pytają i dzwonią  
w złote jabłka pod kwitnącą jabłonią.  
„Gdzie on?” – w trawy naprężonej lutnie  
uderzają zdziwieni i smutni.  
„Gdzie on?” – wszyscy ręce w zdumieniu

wzniesli nagle nad otwartą ziemią:  
Ni w kolebce tam siedział, ni w grobie,  
ni to dziecko, ni elf, ni człowiek,  
a rączkami uderzał w grzechotkę,  
w której z wolna z lękiem rozpoznali  
czarnych niebios świecącą emalię,  
na niej morza się łoskot przewalał  
i zmarszczonych łądów biała fala.  
A on siedział i do siebie gwarzył,  
do narcyza podobny z twarzy.  
Nad nim panna. Ach, tej nie wypowiem,  
coś jak liści szum i fali ciało  
i jak życie nie zamknięte w słowie.  
Więc, gdy wszystko nagle zawołało:  
„Gdzie on?” – rzekła ręce splatając miłośnie:  
Jeszcze mały”. Zawołali: „Cóż się stało?”  
„Nic, do nocy, do wesela – urośnie!”

#### U c z t a

Wej! upili się, a setnie upili,  
dziw, że gwiazd na szklanych krągach nie pobili.  
W jednym dzbanie był zielonobiały  
mus lodowców, które już dojrzały,  
w drugim dzbanie glinianym podali  
sok różowy z krwi i korali,  
w trzecim noc na poły z mlekiem zmieszana.  
Wej! upili się, a wstali aż rano.

#### T a n i e c

I  
Pod muzyką świat zamknięty  
brzęczy tak  
po jeziorze jak po strunie,  
czy po lipie, czy po łunie  
ciągnie złota dłoń czy ptak.  
Drzewom śpiew – pod drzew zadumą  
wodny ton.  
Ptaki śnią, czy we śnie niesie  
modry jeleń tan po lesie  
w koła łąk.

Ulatują lutnie – na nich  
lilie gam, lilie gwiazd,  
i cieniami w złocie grając,

łądy, drzewa omijają  
brzeg płomieni – żółty las.

## II

Unosiły się jelenie i sarny,  
wiały lotem migotliwym i sennym,  
zanosilo grzybami i ptakiem  
na zielonych polan uciszenie,  
aż wiatr począł wznosić szkliste dłonie  
i rozgrzane kształty z wolna studzić,  
więc stawały niedźwiedzie i konie  
i łasice zastygały z wolna,  
aż stanęły i w posągi żywe  
zamieniły się, a rude śliwy  
obrzucały ich w stygnący czas  
ulewami niedojrzałych gwiazd.

## N o c

Szyby deszczu zamknęły noc  
rozdzielając światło i świat.  
Śpiewał jeszcze jakiś obłok przelotny  
i mijały ulewy lat.  
Niebo rosło tylko. Jeszcze mniejszy  
w trzaskających burzach magnetycznych  
tulił ciepło wiolinowych ramion  
i obłoki nalewał w policzki.  
I tak nadzy, w pierwotny czas  
zasypiali zatuleni w futro  
podpalonych gwiazdami niedźwiedzi  
i wiewiórek łuskających lata  
jak orzechy z zielonej miedzi,  
i kołysząc się w ziemi kolebie,  
wyrastając z niej i w siebie rosnąc  
obudzili się w ptasim niebie,  
w które lilią wywiedli się prosto.

## Ś p i e w k o ń c o w y

Ciała, które przechodzą, czym są?  
czym to przemijanie, nie wiesz.  
Ziemia podobna katalitycznym snom,  
odbita przezroczyście w niebie.  
Ani w tym strumieniu przemianie,  
ani w ludach, które przejdą w czas  
jak piasek w starożytnych klepsydrach.  
Ani wiatr, ani cień tak ogarnie

ich wianie nieustannych płaszczyzn.  
Pozostanie, zawsze pozostanie  
odbicie w niebie, czy chmurze,  
a chmury spadając – powrócą,  
a niebo wznosząc się – spadnie  
choćby deszczem, a w każdej kropli  
pozostanie maleńki obraz.

*rozpoczęte dn. 17. I. 42 r.*

*ukończone dn. 18. I. 42 r.*

## Serce jak obłok

Poemat

Matce

I

W takich nocach się lęgną  
same mary tylko i skrzydła nawałnic.  
Takie noce się karmi  
przez wiatr oderwaną ręką.  
Takie noce dymią padliną —  
gnijącym runem obłoków;  
błądzący po nich giną  
w lęku i mroku.  
Takie noce rodzą tylko zwierzęta:  
konie bez głów i koty ziejące płomieniem,  
i płynie w nich ziemia przeklęta  
głuchym strumieniem.  
Jakże te noce przemógł,  
które rosną jak trupi obrzęk  
i jak ryby duszą się niemo?  
Jakże w nich zrodził się olbrzym?

II

A miał Tytan ramion dwoje – gałęzi,  
jak mosiądz, co się w słońcu wygina,  
i oczy, jakby w nich niebo uwięził  
albo jakby mu błękit spojrzeniem  
przez głowę na wylot płynął.  
A nad głową koronkę włosów  
do ptaków podobną, koloru róży czy rțęci,  
spadającą na wysmukły pomnik twarzy,  
kiedy w drogach złocistych brodził,  
w płomieniami płynącym zachodzie,  
i tętniące cyklony marzył.

Kiedy świt jak owoc mleka dojrzewał  
w kolorowych szybkach jaskiń,  
ruszał Tytan przez dzwoniące jaskry  
jak przez gwiazdy wdeptane w trawę,  
i melodie echem śpiewał,  
a przed sobą pędził jak korabie  
zamyśłone, koczujące jak owce  
w szczerym srebrze wykute lodowce.

A spod stóp się sypały lawiny  
jak odłamki kroków wędrujących  
przez pustynie planet innych,  
przez kotliny zatopione słońcem,  
poprzez ziemię jak wielką przyczynę  
zgasłych studni i źródeł bijących.  
Parły trąby miedziane wichury  
w kolorowy codzienny zachód,  
pędził Tytan bezimienne góry  
nad koralowy wodopój,  
gdzie jak senne zwierzęta – łapą  
przecierały znużone oczy,  
zanurzały pyski w spokój –  
w aksamitne fale nocy.

Czegóż więcej potrzeba, gdy głos twój  
budził gór żelazny obryw?  
Czegóż więcej trzeba oczom modrym,  
że tak w smutek patrzyły prosto,  
że aż śmiercią lodowatą wiało od nich?  
Nosił Tytan w piersiach mocnych  
wyrojone w groźną noc narodzin  
smutne serce wykarmione na wyjących wichrów głodzie,  
smutne serce wybudujące na lamentach ptaków nocnych,  
na modlitwach psów – rzucanych w tarczę snów okrągłą —  
– dziwne serce – zamiast serca – obłok.

### III

Dojrzewały w sadach śliwy, śliwy złociste, jakby  
kto krople słońca w powietrzu ostudził nagle jak wosk.  
Tańczyły siostry kołem, od tej wesołej jazdy  
migało pod powiekami, drażniło nozdrza jak kłos.

Dudniły warkocze, tak lśniące, że prawie w słońcu białe,  
jak ulew jasne sploty rzucane z nieba ukosem.  
Dudniły deszcze owoców poprzez rozwiane włosy,  
żeś już nie wiedział na pewno, czy włosy, czy śliwy  
dojrzały.

Tańczyły siostry kołem, a Tytan przystanął; od żaru  
oczy ręką ogarniał jak od lśniącego bąka:  
„Weźcie mnie, siostry, będziemy po kolorowych łąkach  
tańczyć pośród jesieni zielonożółtych pożarów”.

Śmiały się siostry, śpiewały głosami  
jak zielonymi wilg owocami:



„Jakże będziesz tańczył z nami  
pod jesieni namiotami,  
kiedy ręce masz jak stal i mosiądz?  
Strącisz z gór sokoły lawin,  
huk lodowców słońce zdławi,  
kiedy pieśń zaśpiewasz mocnym głosem.  
Jakże bratem naszym jesteś,  
kiedy my jak płomień lekkie,  
który biegnie po płonącej słonce,  
a ty wiatrem noc zalewasz,  
piorunami płoniesz w drzewach,  
rozmuchujesz w kolorowy zachód słońce?  
Jakże mamy tańczyć z tobą,  
kiedy zamiast serca obłok  
w piersi burzą wypełnionej nosisz?”

I wesoło się siostry śmiały,  
w świergot ptaków coraz bardziej zanikały,  
aż pozostał po nich lot pajęczyn  
rozwieszony w powietrzu dźwięcznym.  
Został Tytan sam na brzegu żalu  
jak na brzegu najsmutniejszej wyspy,  
gdzie na drzewach nawet ptaki wszystkie  
są z zimnego złocistego metalu.

#### IV

Kapali się chłopcy w rzekach,  
których prąd podobny dłoniom żylastym,  
gdzie czekała ich polana niedaleka  
i mijały ich wyśnione obce miasta  
napęłnione kopułami z kolorowych szkiełek,  
które w słońcu się wzdymały i gięły.  
I widzieli w lasach ciemnych, wilgotnych  
wirujące tęcze z purpurowych kamieni.  
Wśród zielonych kołysek cieni  
migotały im dziewcząt loki.  
Ale jakże je było uchwycić,  
kiedy były z snów przejrzystych nici?

Stanął Tytan nad rzeką i zawołał,  
aż się kręgi kręciły po wierzchu,  
jakbyś kamień w wodę rzucił – coraz dalsze koła:  
„Chodźcie, chłopcy, popłyniemy o zmierzchu  
i zamkniemy w rąk brązowych kleszczach  
kraj błękitny, gdzie gwiazda mieszka”.  
Ale śmieli się chłopcy białemi —  
jak orzechy wyłuskane – zębami:

„Jakże płynąć chcesz, Tytanie, z nami  
do tych bujnych jak burze ziemi,  
kiedy my szukamy w nich dziewcząt —  
jedwabnego jeziora pieszczot,  
kiedy chcemy wydrzeć drogie kamienie  
tęczom barwnym i zazdrośnym ziemiom?  
A ty nie masz soczystego serca,  
w którym dudni krew chciwa klejnotów.  
Czy w lodowcach swych ukryjesz złoto?  
Czy w cyklonach swych poszukasz mu miejsca?”

I płynęli, przepływali obok:  
„Przecież ty masz zamiast serca obłok”.

Poszedł Tytan od chłopców wesołych,  
wielkie stopy ostrożnie stawiając wśród drzew.  
Jeszcze za nim pogłos rzeczny wołał  
i płynących daleki śpiew.

V  
Czesła Światłoluna włosy ciemne  
przed zwierciadłem strzaskanym potoku,  
zanurzała wąskie ręce głęboko,  
ku swym oczom zielonych tajemnic,  
które w wodzie się tliły i gasły  
jakby z mroku utkane, a jasne.  
Zeszły sarny do strumienia, wodę  
tuląc miękko do wilgotnych twarzyczek,  
przybliżały kosmaty policzek  
do jej dłoni błękitnych od chłodu  
i wznosiły nozdrza mokre i czarne,  
jakby w piersiach jej przeczuły sarnę.

Widział Tytan Światłolunę i pokochał,  
rzucił stada gór lodowych i gromów  
i co rano przed płynącym lasu domem  
dzwonił pieśni na wydętych wiatru konchach,  
aż z przestrzeni taki żal wywabił,  
że na liściach osiadało łzami.  
Tylko z dali ryczały porzucone lodowce  
przystanąwszy w zasłuchane stada  
i skręcone orkany jak owce  
pobekując zawisły w powietrzu,  
nawet ostre pociski deszczów  
zwisły z nieba – stanęły nad ziemią,  
w kręgi pieśni zasłuchane niemo.

Tytan grając śpiew smutny w ciszę długo snuł,  
jakby ciemną nicią żalu niebo rozciął wpół:

„Szybują bąki wiecznych burz  
chmurami w dół, chmurami w głąb.  
Spadają deszcze szklanych róż  
pośród mosiężnych wiatru trąb.

Widziałem w twoich oczach las  
wiodący sarnim rytmem w świat,  
gdzie zamyślane ryby gwiazd  
nad nawałnicą lat.

Uchroń mnie łotem swoich rąk  
jak białych ptaków snu  
od wędrujących za mną łąk,  
od wędrujących gór.

Szybują burze, w burzach drży  
mój własny groźny krok.  
O, schroń mnie w namiot swoich snów  
przed stalą moich rąk”.

Wyszła wtedy Światłoluna na brzeg światła,  
pół się śmiejąc, pół po wietrze ręką wodząc  
jak po grzbiecie zbudzonego pieśnią bawoła,  
i uniosła smutne oczy jak lecących chmur zwierciadła,  
jak jaskółki zabłąkane późną nocą  
w wirujących planet kołach.  
Pół się śmiejąc, pół śpiewając zawołała,  
jakby strumień ciepłym altem w niebo lała:

„Jakże ty mnie chcesz, Tytanie, kochać,  
zadumaną w moich białych potokach?  
Jakże chcesz mnie w mocne dłonie uchwycić,  
kiedy nie wiesz, czy to ja, czy moje odbicie?  
Bo ja jestem na wpół prawdą, na wpół ciszą,  
jakby liście, co w powietrzu – zanim spadną – wiszą.  
Boję ja się twoich gór tętentu,  
twoich wichrów jak lecące zwierzęta.  
Kiedy rykną twe lodowce lawiną,  
moje oczy znikną w liściach, w kwiaty się rozplyną.  
Za wysoka będzie miłość z tobą,  
kiedy ty masz zamiast serca obłok”.

Za wysoko było podjąć płacz z tej nuty,  
gdzie go piersi wyrzuciły ponad przestrzeń,

gdzie go taki lodowaty wylał smutek,  
aż zamarzyły nieruchomo wszystkie ptaki na wietrze.

Tylko z powiek Tytanowi łabędź spłynął  
zamiast łzy – i w chmurach zginął.

## VI

Dudniły rzeki po zboczach. Pełzały żółtym płomieniem  
ogniska ludzi w dolinach, kiedy się do snu kładli  
nic nie widzący powyżej, niż biegły z ognisk cienie,  
nie szukający ponad to, co już od dawna odgadli.  
Ryczały krowy mleczne i rogi nurzały w senność,  
a ptaki spały mocno jak wyrzeźbione w gałęziach.  
Piersi zwierzęce i ludzkie wznosiły, zniżały ciężar  
ogromnej kuli nocy, którą zamknęła ciemność.  
Wtedy z pieczar głos się piętrzył i tak urósł,  
jakby nie był lotem ptasim, ale czarną górą.  
Wołał Tytan w puste studnie nocy,  
aż mu oczy wypalone troską zgasły,  
a od głosu ziemia stała w gromach jasnych,  
złote kule na doliny tocząc.  
A lawiny lały się jak srebrne rzeki,  
jakby starte kołem czasu – wieki.  
Właśnie świt nad nocą przysiadł; jakby ptak  
skrzydłem mlecznym gwiazdy z wolna ścierał,  
kiedy drogą bladą jak we snach  
Matka szła o twarzy wyrzeźbionej  
w smugi smutku, jakby się nią przelał  
czarny płomień zamknięty we łzach.  
A łzy były za Tytanem tęsknione  
i nie gorzkie już, a tylko czerwone.  
Wtedy w piersi Tytana obłok  
tak się dźwięcznie w białą chmurę skłębił,  
że po halach posypał się pogłos  
cekinami mieniących gołębi.  
I w ramionach Matki zamilkły  
jego oczy jak zamarzłe wilki.

Tylko skrzydła jej srebrnych włosów  
długo wiały na porannym wietrze  
i sypały się w błękitną przestrzeń,  
zastygając w konstelacje i znaki,  
nie wiadomo, czy łzy, czy ptaki?

*ukończone 30 sierpnia 1941 r.*

## Szklany ptak

Poemat – baśń

1

Zbożem płynęły pola daleko na nieba brzeg,  
gdzie w błękit wpływały jak floty i układały się do snu,  
lecz kiedyś ucho przyłożył do serca ziemi – to lęk  
jak pajęczyna chwycił, bo słysząc, jak groby rosną.

Lasy jak gobeliny, na których zwierzęta utkane,  
jak fala widnokręgu w widnokrąg chlustały i szły,  
lecz kiedyś oko przyłożył do okien zielonych polany,  
widać złożone zbroje i krwawe ręce złych.

Barki ładowne szły rzeką i tkanin złoty ogień  
wiozły, ciężki jak ołów i srebrnolite kły,  
a kiedyś serce przyłożył do kołyszącej drogi,  
słysząc: dudniły ludzkie, jak pięści twarde – ły.

Kraju, kraju szczęśliwy, płynący słońcem i mlekiem,  
gdzie rzeki juczne mijają, gdzie dzwoni pogłos kos,  
wołają w tobie żniwiarze, wołają gwiazdy dalekie,  
śpiewa pod tobą umarłych – jak krew szerniała – głos:

„Kraju dziwny, od pól złotych – złoty,  
dzwonią czerstwe owoce na drzewach,  
biją w kuźniach ogorzałe młoty,  
lira sosny napięta – śpiewa.

Kraju drżący jak wzdęty ul,  
kołysany w kołysce jaśminów,  
skąd to w trumnach pulsujących pól  
czarne kukły twych spalonych synów?

Czemu chleba przekrojony bochen  
tryska w górę płaczem czy krzykiem?"

2

Z chmur i z łądów magowie  
szli do ziemi bogatej i smutnej.  
Na dostałych pól złotogłowie  
kładli ręce i zakłętę lutnie.

Odczarować chcieli ziemię przeklętą,  
od spalonych serc jak trwoga – czarna,  
i wyzwolić chcieli na pół świętą,  
a na pół już chyba umarłą.

I budzili ją w pszenicznym słowie:  
„W imię Boga, ziemio, odpowiedz!”

I budzili ją w słowie światła:  
„Kto cię zatruł, ziemio nieodgadła?”

I budzili ją w słowie ognia:  
„Czemu spalasz, ziemio, jak pochodnia?”

I budzili ją w słowie trumien:  
„Czemu szczęśna być, ziemio, nie umiesz?”

Popękały lutnie magów i kule  
z kryształowych strumieni ulane;  
zamieniały się słowa w liście,  
sucho gasły nad czerwonym łanem.  
Ziemia głucho toczyła dalej  
krew, okręty i złote fale.

3  
Wyrósł Miłun korzeniami z ziemi,  
ramionami w nieboskłon zaparty. Ciemnymi  
cieniami o zachodzie kołysał go wieczór,  
aż wkołysał weń burzę nabrzmiałą od przeczuć.  
Drzewa go otulały, aż mu w żyły wlały  
krew zieloną, a z góry obłoki dojrzałe  
sączyły białe mleko w przezroczyste oczy,  
że wzrósł mocny jak skała, a nad nim się toczył  
tabun pragnień obłocznych, a tak ziemi bliskich,  
jakby jesiennej roli – wirujące listki.

4  
„Miła – mówi – lirowłosa Lelo,  
dziś o świecie – mówił – słońce białe  
zawołało mnie, gdy w progu stałem.  
Odejść muszę, lirowłosa Lelo,  
w jakiś ogień czy w pustynię lodów,  
w jakieś smutne wydmy, gdzie tarnina  
biało płonie nad grobami rodów,  
gdzie jest świat jak cud i jak grobowiec,  
w takie kraje, których nie wypowiem,  
które można przyśnić tylko.

Miła – mówił – ziemio umęczona,  
zamyślona w pozłoty grobowe,  
dla twych synów przywiozę nowe  
słowa mocne i błogosławione."

5

Wykuł Miłun korab z cisów, co na przedzie  
nosił rzeźbione gwiazdy, figury i runy  
czerwone i błękitne, jakby jasno wiedział,  
że te znaki to krwi są spływające struny.

Białe plaże ciągnęły korowody cieni,  
w które dał zachód płatami biegnącej czrewieni,  
a na nich żagle drżały jak napięte konie  
do biegu albo biało kwitnące jabłonie.

I na rejach wysoko zawiesił jodłową  
gałąź, aby szumiała jak sztandar nad głową  
i jak serce wydarte płaczącego kraju  
była drzewem wspomnienia i drzewem rodzaju.

6 P o ż e g n a n i e

„Żegnaj, Lelo – powiadał – oto się otwarły  
dzwierze domów zielonych." A już burza parla  
w policzki żagli wzdęte jak skrzydła do lotu  
i fala wyprysnęła bursztyny czy złoto,  
które dźwięcząc wraz z głosem opadły na piasek  
jak łzy, których nie stało za żegnanym czasem.

Tylko długo wśród plaży Lela i synowie  
stali, zakrzepili w wietrze w kamień smutku płowy,  
który był jak łza ciepła płynąca po twarzy  
i jak lodowy pomnik ginących żeglarzy.

7

Na oceanach ciemnych od gniewu  
błąka się z ognia wygasłe niebo.  
Fale jak głowy obcięte krwawią  
pianą nietrwałą czy gorzką sławą?

Na oceanach wiatr sypie w oczy  
suche szkielety skrzydeł i nocy,  
które szeleszczą zmiażdżonym lodem,  
aż szpary źrenic zamienią w wodę.

Po oceanach płyną umarli,  
wiatrem przeszyci jak ostrzem czarnym,  
ich białe oczy toczą się łzami,  
aż śmigłe ręce przemieniają w kamień.

Na oceanach sny są jak ołów,  
krążą jak sępy, dzwonią jak koła  
i idą fale dudniąc pochodem,  
aż wszystkie lądy przemieniają w wodę.

8

Ląd jak rzucona z nieba kotwica  
na wodzie z nagłą zamilkł.  
Zgasł wiatr huczący i tylko sypał  
cicho po twarzy – łzami.

Posłuchać: we mgle jak w białych kłębach  
góry przeżyły się lodem,  
góry – mamuty o lśniących zębach  
przeciągające pochodem.

Przystanął Miłun na dziobie. Korab  
jak pył w powietrzu drżał,  
a głos jak luster pękniętych chorał  
srebrem się sypał ze skał.

Szedł Miłun drogą, a drogi takie  
są jak wspomnienia śladów olbrzyma;  
wiodły go mewy jak białe znaki,  
on – w ręce gałąź jodłową trzymał,  
która zielonym smutkiem śpiewała,  
jakby ten szklany pejzaż poznała.

Aż przystanął Miłun pod skałą,  
która była z litego kryształu,  
w której nieba i granie strome  
odbijały się odwrócone  
i płynęły w niej kamienie i śniegi  
odwróconym zakłętym biegiem.

I tak szedł przez odbicia czy drogi  
w kręgi gór, których pejzaż zastygł  
swym odbiciem zdawał się wirować  
powolnymi obrotami planet.  
One jakby zawisłe w powietrzu  
były ciche jak zastanowienie



nad największą tajemnicą ziemi  
i czekały nad tysiącletkami.

Tam mijając stanął nad chmurami,  
w których mrucząc cicho spały gromy  
tak wysoko, że niebo już było  
tylko wodą szeroką i ciemną,  
która z wolna płynęła z jednego  
na brzeg drugi i wracała znowu.

Wtedy spojrział Miłun w dół – na dole stała  
ziemi twarz – zmarszczkami brązowymi  
w taki grymas tragiczny zastygła,  
że nie kulą się już wydawała  
ale maską gigantycznej trumny.

Więc zawrócił Miłun – oczy zgasił  
dłonią smutku i szedł w dół, gdzie morze,  
za nim góry zwracały się z wolna  
i mróz biało szybował jak orzeł.

9

I znów dzwonił korab w fali miedź,  
a lodowce jak zakute w szkło obłoki  
lawinami mlecznymi żegnały go: „Jedź,  
synu mocny, w wodę tak głęboko,  
jak dosięga odbicie burz lodowych,  
co jak włosy otaczają nam głowy.  
Tam co noc metalowe dzwony  
snują pieśni wysmukłe, surowe  
o zwycięzcach. Może twoje pięści  
w wrzące leje wody zanurzone  
wydrą z głębi zatopione szczęście”.

Stopie kolorów dziwny  
jak szyby letnich wieczorów,  
straszny jak oczy krzywdy,  
zgodny jak biały chorał.

Gdzie drętwy płaskie jak piorun  
zgnieciony głuchym młotem  
wiodą zielone iskry  
i kule oczu – złote.

Żywe gałęzie krabów –  
napięte łuki grozy

składają w serca muszli  
liście czerwonych nożyc.

Suną ryby-planety  
po niewidzialnym sznurze,  
z otwartym lejem paszczy  
ciągnącym je ku górze.

A w okna martwych fregat  
ziewających stuleciami  
płyną niebieskie raki  
jak trumny albo bramy,

gdzie wokół stołów milczą  
zakute w ciszy pięść  
szkielety komandorów  
jak cienie snów i klęsk.

10

A gdy w grozie i kolorach zakrzepł,  
to zrozumiał, że już nie wywiedzie  
ani białych jabłek radości,  
ani mieczów z zielonej miedzi,  
które braciom by zaniósł w dłoni  
jakby gwiazdy szczęśliwej płomień,  
która noc jak bramę otworzy.

I zapłakał Miłun, a wiatr  
gnał obłoki jak konie wezbrane  
w profil żagli, które rwały świat  
jakby w nieba otwartą ranę.

Upływały kule dni,  
upływały w widnokreghi coraz dalsze,  
aż błękitem krzepło w rudej krwi  
i do powiek przyrastały palce,  
które tropiąc w dalekim żalu  
wysp czy lądów – oganiały promienie,  
aż się w popiół zamienił i spalał  
wzrok w horyzont wbity i wspomnienie.

Najpiękniejsze – wspomniane obrazki  
rysowane na ścianie ręką  
jak zdradliwe ciche ciosy łaski  
wracające, aż serca pękną.

11

Niebo się toczyło na północ czy zachód,  
było różą deszczu rozkwitającą w krąg,  
a zielona przestrzeń pełna szklanych kwiatów  
i we wszystkie strony sterujących rąk.

Słysząc było głosy rosnące w szeleście,  
które niosły korab w przestrzeń z jasnych piór  
i stawiały cicho w przezroczystym mieście  
zbudowanym w czasie jak na łuku chmur.

I przestąpił Miłun przestrzeń jak szkło,  
podał ludziom przejrzystym rąk spalonych młoty,  
szedł przez śpiewające runie szklanych łąk  
i powietrzne zamki w rzece słońca – złote.

Opowiadał Miłun o swej ziemi,  
o tych lasach zielonych jak rzeki,  
o tych ludziach smutnych i dalekich,  
którzy serca mieli chore od żalu,  
gdzie kto wolny – ginął niewolnikiem,  
a gdy tęsknił w niej kto – to za pyłem,  
gdzie się krwawe rodziły słowiki,  
a gdy silny kto – ten jak bez siły.

Więc go wiedli przed drzewo szkliste,  
które miało niebieski pień,  
które miało z płomieni listki  
i jak ogień – przejrzysty cień.

A owoce rosły na nim szklane  
jak płomienie zastygłe w ptaków kształt,  
które skrzydła rozwinąwszy – zadumane  
pozostały jak odłamki skał.

12

Więc wziął Miłun przejrzystego ptaka w ciemne dłonie  
i korabiem w dół na ziemię powoli opadał,  
aż się maszty o obłoki ojczyście otarły,  
a spalone wiatrem oczy o wybrzeże wsparły.

„Witaj kraju” – powiadał i rękami gładził  
liliowe futro zmierzchu, i myślał, że kładzie  
swoje serce w szkatułę – pod niebo zamknięte,  
które uciszy łądy wrzące w nim i piękne  
ręce położy na nim jak kobieta dobra,  
która jest razem dzień i cisza modra.

Wtedy przyszedł przed chatę, co w zielonym lesie  
płynęła razem z lasem przez wiosny i jesień,  
ale w jej oknach blade jak powieki świtu  
zobaczył cienie obce, ogromne wśród światła,  
i lirowłosą Lełę, i cień, co ją przykuł  
do jakichś obcych zdarzeń, do ludzi i linii,  
po której – widział – jak daleka płynie,  
gdzie była mu jak ręce obcięte – po wiekach  
przykładane do tego samego człowieka.

### Strofy o życiu i śmierci

- Dwugłos:      Tłum się skłębił i podpalił  
                    łuną światła miasta.  
                    W ołowianych rzekach drżała  
                    roztopiona gwiazda.
- Głos I:         Jabłka w koszach jak dojrzałe  
                    serca drzew zwycięskich.
- Głos II:        Na cmentarzach czaszki grobów  
                    jakby kroki kłęski.
- Głos I:         Dzbany mleka, w dzbanach srebrnych  
                    dudni żywy marmur.
- Głos II:        Chmury kraczą nad spojrzeniem,  
                    szarpia ziemię czarną.
- Głos I:         Smukłe ciała – piersi smagłość  
                    zanurzone w zachwyty ramion;
- Głos II:        Nocą próżno w szkle strumieni  
                    myją krwawe krzyże znamion.
- Głos I:         Księgi pełne, księgi silne  
                    dojrzewają w czystych ustach,
- Głos II:        a przed lustrem w trwodze nocy  
                    zije w czaszce rana pusta.
- Dwugłos:      Oto drzewa złotych iskier;  
                    pod drzewami wieka trumien.  
                    Nie odnajdziesz szklanych ptaków,  
                    kiedy śmierci nie zrozumiesz.

Mówił Miłun: „Oto ptak,  
szklany ptak zwycięstwa,  
kiedy śpiewa pieśń – to pieśń jak znak,  
kiedy zbraknie serc – to pieśń jak klęska.

Mówił Miłun: „Oto natęż słuch,  
kraju piękny, odsłoń jasną twarz,  
gdy usłyszysz – to tysiącem głów,  
gdy usłyszysz – to już moc swą znasz”.

Wtedy śmiech rozwalił łunę blasku,  
z ciżby wyszedł olbrzym i uderzył,  
aż gwiazdami się sypnął po piasku  
odgłos skrzydeł. Był wieczór. Ptak nie żył.

Wsparł się chłop ogromny o wiatr,  
oczy płaskie jak blacha zwięźył  
w śmiechu głupim, bo myślał, że świat  
i proroka obłoków zwyciężył.

A w rozlanej ciszy, w wiatru wiew  
bił ogromną ręką wielki śmiech:  
„Jakże teraz ten, co życie niesie,  
echem sypnie po zielonym lesie?  
Jakże teraz z stłuczonego szkiełka  
wstanie siła jak orkan wielka?”

Wtedy śmiech się stoczył w beczki ust,  
wtedy echem po kolumnach rósł,  
wtedy tłum się rozpląnął drogami  
i zapadła noc – jak głuchy kamień.

Został Miłun – korzeniami wrósł  
w ziemię swoją płynącym modrzewiem  
i stłuczonym sercem, grobom ust  
błogosławił zielonym śpiewem.

\*

A po nocach – niesie groźny mit –  
widać: drzewa płonącego upiór  
niesie krwawy pół-krzyk, a pół-śpiew,  
jakby klątwa rozrąbanych drzew:

„Płyńcie w trumnach wieków i epok,  
przywiązani jak trupy do ziemi,  
aż spopiela się wam oczy ślepe,  
a z popiołów powstanie feniks”.

*rozpoczęte w końcu września,  
ukończone dn. 19 października 1941 r.  
K. B.*

## Wybór

Uczyniwszy na wieki wybór,  
w każdej chwili wybierać muszę.  
J. Liebert

Noc zielona była, po dniu skwarnym  
głębokość jej szumiała jakby liście czarne,  
w których mleczny rdzeń wyrósł, i kroplami gwiazd  
odmierzał się powoli nieostrożny czas.

Maria czekała cicho. I zdało się, płynął  
świat ogromny w oddechu nieba jak otchłanie,  
co wiało wielkim oknem na stół, na posłanie  
białe i nie dotknięte. Czekala. W milczeniu  
na piersi ręce kładła i wtedy się pienił  
krwi jej rozgrzany napój i owoce mleczne  
pęczniały jej pod dłonią, i czuła, jak bije  
bolesna piąstka serca. I czuła, że żyje  
łodyżka w niej maleńka, listeczkami dwoma  
obejmująca miłość całą, jaką ona  
i on zamknęli w sobie. I gdy rękę niżej  
obsunęła, poczuła, jak ją szorstko liże  
płomienny język ciszy. Brzuch miała jak kroplę  
ogromną, w rozłożystą misę biodr zamknięty.  
W takiej ciszy słyszała, jak na godzin stopnie  
pnie się w niej ten roślinny puch, twardnieje w orzech –  
– to było dziecko małe, które wkołysali  
ciepłym ciał swych pomrukiem jak szelestem morza  
w jej pełnię i dojrzałość, która równa ziemi  
ogarnęła i rosła rączkami drobnymi,  
zarysem ust różowych, roślinką maleńką,  
która czuła pod lekko wyciągniętą ręką  
i która dziś się spełni i wszędzie człowiekiem  
nad przymrużoną lekko ziemi złej powiekę,  
żeby się stać czym? kwiatem, powłoką czy łąką?

A on był z nimi razem. Drzewa niebo niosły  
i jak rybak, co trąci nieostrożnym wiosłem  
tataraki – i kwiaty podwodne ukazuje,  
tak wiatr obłokom zwijał nachmurzone twarze  
i odsłaniały gwiazdy czystsze od pian bieli.  
Oni stali bez ruchu. W ciemności widzieli,

jak z wolna ich otacza wróg, a hełmy lśniły  
jak łuski wielkiej ryby, która nocą draży.  
Jan stał pośrodku, cichy jak wielki chorąży,  
który sztandar przedśmiertny ogromnych niebiosów  
unosí. Jego głowa i płonące włosy,  
w których gwiazdy spalały ostatni swój płomień,  
stały w sklepieniu nocy, w milczeniu ogromie.  
Tacy byli żołnierze, którzy bez mundurów,  
w cywilnych czapkach, z bronią zza pasa wydartą  
stali u serca ziemi jak burzliwe chmury  
przeciw wierze bezsilnej i miłości martwej.

A tamci jeszcze bliżej. Więc ujęli w ręce  
broń jak rzeźbiarz, co dłuto ujmuje z namysłem,  
aby wyciąć nagrobny pomnik, w takiej męce,  
w takim bólu krzesany, aby czyny wszystkie,  
wszystkie cierpienia i burz grzywy wciosać  
w pomnika twarz, ramiona, w usta i we włosy.

Więc runął łańcuch strzałów. Najpierw po ogniwie  
sypał się na bruk dźwięcząc, potem coraz ciężej.  
I świst, jakby jęk łuku zerwanej cięciwy.  
To ziarna kul jak długie, rozpalone węże.  
Ulica była ciemna. Bił głos. Z okien nisko  
złęknionych oczu płatek. Od krwi było ślisko.  
Sypki grzechot o ściany. Potem świst. Schyleni,  
przypadli głowami – jak do dna – do ziemi.  
Pocisk. Więc ciemność drgnęła, odprysło od bruku  
i rozerwani na sylwetek palce  
pełzali naprzód, już się gięli w walce:  
to przypadną i bąki ostrych strzałów grają,  
to z granatem w powietrzu bez ruchu przystają,  
oczy szukają szybko, potem chmura tryśnie  
i jeszcze większa ciemność w powietrzu zawiśnie.

Jan widział ciała ciemne i jeszcze raz nabił,  
i jak odporne zwierzę długo w dłoni dławił  
broń. Znow trzepotał skrzydłem ołowianym  
zerwany łańcuch strzałów. Potem granat w górę  
trysnął i raz na zawsze zamilczał w ciemności  
zmiażdżony bruk i bezruch czarnych ciał.

On jeszcze chwilę, wyższy jakby stał  
u ściany, przedłużony cieniem, potem skośny  
jak kostur, co przy murze postawiony czeka,  
ruszony, upadł. Tylko plusk bezgłośny  
zamknął się nad nim cicho. Noc się jak powieka



zmrużyła i zapadła. Jeszcze gwiazd ulewa  
zza chmury wynurzona opadała w drzewa  
i łopot strug ciemności wydymał się w wietrze,  
i stało skamieniałe nad światem powietrze.

Więc cisza ogromna się stała jak woda,  
ciemna, głęboka i ciepła, wchłonęła kształty i świat.  
A anioł lekki nad ziemią cicho mu rękę podał  
i szli wysoko, w obłoków rozchylający się kwiat.  
I już się Jan kołysał nad ziemi dnem wypukłym,  
kiedy dom w dole ujrzał, i lży jak ciężkie gwiazdy,  
pełne obrazów zmieszanych, w dół spadły, rozprysły się,  
stłukły.  
I począł ciężyc w dół jak próżny dźwięku dzwon,  
bo widział Marię białą jak brzozę w burzy zgiętą,  
schyloną nad dzieciątkiem w ogromnym lustrze lęku.

„Podaj mi rękę – mówił anioł – bo jeszcze jeden krok,  
a trwoga cię ogarnie i spadniesz suchym liściem  
w drapiezną czułość ziemi, w pożary ludzkich rąk,  
w jeziora mroczne czasu podobne ciemnym snom.”  
Znów się muzyki cieplej płomyk zapalił biały,  
a on strwożony jeszcze, choć w górę lekko szedł,  
zapłakał: „Czym nie zgrzeszył odchodząc od cierpienia,  
odchodząc, kiedy za mną bolesne kwiaty wiały,  
jej dłoni i jej oczu uderzał motyl trwożny  
i do jej stóp maleńkich przykuta ciężka ziemia?  
Jam szedł za tym płomieniem, co pali nieostrożny  
i nieobaczny na nic”. A anioł mówił tak:  
„Tyś był miłości wiernej nierozdzielony ptak,  
który miał tyle serc, ileś twych braci miał,  
i z każdym serc powiewem twój wielki płomień drżał,  
i uczyniłeś wybór po wszelki świata czas,  
jakże chcesz, żeby w trwodze o jedno ciało gasł?  
Bo dusza jej to strumień, srebrzysty, żywy ton,  
a nie napłynie otchłań w zielony, boży dom”.

I znów się ciszy całun w muzyki krąg układał,  
a znów go strwożył czas i mówił: „Nim dorośnie  
dzieciątko, czym się stanie, czy groza go nie wchłonie?”  
A anioł wziął go w ciszy mocno za obie dłonie  
i rzekł: „Czyś ty zapragnął krzyżować smugi dróg,  
które wydrażył przed nim ognisty boży pług?  
Ale wiedz: kto zaufał, gdziekolwiek niesie lot,  
miłością pooddziela od miłowanych zło.”

Wtedy się serce Jana skruszyło w miękki popiół,

to serce, które z duszą porwane – ziemskie było.  
I próchno się na ziemię jak rosa albo łąza  
zsunęło. Nisko w dali fala chmur białych szła.

Jeszcze dzwonek na wieży,  
ptaki w locie i obłok,  
wietrzyk dzwonił i gasł.  
„Podaj mi rękę – mówił anioł —  
oto się stajesz zapatrzeniem gwiazd”

*Ukończone 14 września 1943 roku,  
pisane w miesiącach: maj, lipiec, sierpień,  
wrzesień 1943 r.*

## POSŁOWIE

Nad nami noc. Goreją gwiazdy,  
dławiący, trupi nieba fiolet.  
Zostanie po nas złom żelazny  
i głuchy, drwiący śmiech pokoleń.

– pisał w *Pieśni* ułożonej podczas okupacji Tadeusz Borowski, poeta tej samej formacji artystycznej i ideowej co Krzysztof Kamil Baczyński. Historia literatury, przesuwająca w głęboką przeszłość twórczość pokolenia „Kolumbów”, w paradoksalny sposób uaktualnia jednak pytanie zawarte przez Borowskiego w puencie jego utworu. Jesteśmy obecnie świadkami fundamentalnych przemian, zachodzących w języku i w dotychczasowych hierarchiach wartości w literaturze współczesnej. Zaczynamy patrzeć na przeszłość pod innym kątem niż ten odziedziczony po przeszłości. Literatura lat wojny i okupacji, do której należy dzieło Krzysztofa Kamila Baczyńskiego, wydaje się okresem w tej perspektywie w pełni ustabilizowanym. Z wyłonionymi ostatecznie hierarchiami nazwisk i wartości, z opisaną w szczegółach geografią piśmiennictwa tej epoki. Tworzy ona wrażenie monolitu, szczególnie na tle literatury powojennej, ożywionej mnogością wewnętrznie sprzecznych dążeń i tendencji. Na tym tle wyłania się jednakże problem aktualności liryki Baczyńskiego. Do jakiego stopnia broni się ona przed upływem czasu? W jaki sposób współbrzmi ze zmiennymi kategoriami historyczno-literackiego procesu, który nie jest przecież raz na zawsze danym, lecz z samej swojej istoty stanowi potok przemian, związanych z okolicznościami estetycznymi, społecznymi, historycznymi, ważącymi na powstaniu dzieła. Twórczość „Kolumbów” staje się powoli własnością historii kultury, nie teraźniejszości. A zatem do jakiego stopnia przesłanie w niej zawarte może trafić do współczesnego czytelnika uwodzonego przez postmodernistyczne mody? Dokonany tu wybór z poetyckiej twórczości Baczyńskiego był próbą częściowej odpowiedzi na tego rodzaju pytania.

Poeta urodził się w Warszawie 22 I 1921, poległ w powstaniu warszawskim 4 VIII 1944 roku. Był synem Stanisława Baczyńskiego, oryginalnego krytyka literackiego, znanego w latach międzywojennych z radykalnych, zbliżonych do lewicowych, poglądów i Stefanii Baczyńskiej, autorki książek dla młodzieży i podręczników. Stosunek syna do matki, i odwrotnie, był bardzo bliski i intymny, co znalazło odzwierciedlenie w paru co najmniej przytoczonych tu utworach. W opisie tego fenomenu krytyka powoływała się na paralele z Juliuszem Słowackim i jego stosunkiem do matki. Życiorys Krzysztofa Baczyńskiego był bardzo typowy dla pokolenia jego rówieśników. Na biografię tę złożyły się: matura w czerwcu 1939 roku, tuż przed wybuchem II wojny światowej, krótkie studia polonistyczne na tajnym uniwersytecie warszawskim, wstąpienie w 1943 roku do Harcerskich

Grup Szturmowych połączone z pełnym konspiracyjnym przeszkoleniem bojowym i uzyskaniem stopnia podchorążego. To także udział w akcjach bojowych w terenie, jako żołnierz „Zośki”, a później „Parasola”, i śmierć w pałacu Blanka na Placu Teatralnym w pierwszych dniach powstania. Aby dopełnić miary romantycznej legendy należy wymienić jeszcze ślub poety z koleżanką ze studiów, Barbarą Drapczyńską, który odbył się w czerwcu 1942 roku. Baczyński swojej narzeczonej, a później żonie, która także zginęła w powstaniu w niecałe cztery tygodnie po śmierci męża, poświęcił cykl jednych z najpiękniejszych w polskiej literaturze erotyków, przypomnianych w niniejszym wyborze.

Baczyński zaczął pisać w połowie lat trzydziestych, jego pierwszy wiersz pochodzi z 1936 roku. Przed rokiem 1939 nie ogłosił on żadnego utworu, chociaż, jak świadczą o tym zachowane w rękopisach dwa uporządkowane zbiory gimnazjalnych wierszy, debiutować pragnął. Po roku 1939, za życia poety, wyszły w Warszawie, pod pseudonimem Jan Bugaj, takie publikacje poetyckie jak: *Zamknięty echem* (1940), *Dwie miłości* (1940), *Wiersze wybrane* (1942), *Arkusze poetycki nr 1* (1944). Wiersze Baczyńskiego ukazały się w tym okresie w dwóch ważnych, również wydanych konspiracyjnie antologiach. W *Pieśni Niepodległej. Poezja polska czasów wojny* (1942) oraz w *Słowie Prawdziwym* (1942, 1943). Pierwszym wydanym pośmiertnie zbiorem poezji K. K. Baczyńskiego był *Śpiew z pożogi* z 1947 roku, a cała jego twórczość zaczęła być przypominana od 1961 roku, głównie dzięki opracowaniom i wyborom Kazimierza Wyki, który odegrał olbrzymią rolę w przyswajaniu poezji Baczyńskiego polskiej literaturze.

Autor *Pokolenia* był, według określenia Jerzego Kwiatkowskiego, poetą *Apokalipsy spełnionej*. Podobnie jak równy mu talentem, lecz pozostający przez długie lata w cieniu swojego wielkiego rywala, Tadeusz Gajcy. Obydwaj odwoływali się do antycypacyjnego katastrofizmu II Awangardy lat trzydziestych, zapowiadającego II wojnę światową w specyficznej poetyce, która w historii polskiej literatury współczesnej pełni do dzisiaj rolę *signum temporis*. Odwoływał się więc Baczyński, szczególnie do 1941 roku, do śpiewności i mitotwórstwa Józefa Czechowicza. Do jego płynności, emocjonalności, nakładających się na siebie wzajemnie skojarzeń. Połączenie pierwiastka wizualnego, fizycznego konkrety z pierwiastkiem intelektualnym, szeroka poetycka fraza z wyczuwalnym pulsem Historii spokrewniła z kolei Baczyńskiego z liryką Czesława Miłosza. Spośród innych patronów tej poezji, pochodzących nie tylko z grona wileńskich katastrofistów, należałoby jeszcze wymienić Władysława Sebyłę, Józefa Łobodowskiego, Jerzego Zagórskiego i Aleksandra Rymkiewicza. To ze spadku po tej poetyce wywodzi się widoczny w poezji autora *Z lasu* szczególnego rodzaju stop liryzmu z konkretem społecznym i historycznym, uzyskującym w takiej perspektywie dodatkowe, chciałoby się ostrożnie powiedzieć, metafizyczne znaczenie. Dzieje się to w ramach niezwykle plastycznego, bogatego obrazowania, nie wykazującego jednakże, co bardzo ciekawe, prawie żadnych związków z tradycją I Awangardy krakowskiej. Ani tu śladu racjonalnego, poetyckiego konstruktywizmu Juliana Przybosa na przykład. Poetycki pejzaż Baczyńskiego jest zawsze w mniejszym czy większym stopniu odrealniony, wieszczy zagładę „miasta, masy, maszyny”, a nie ich rozrost i chwałę. To nie świt nowej cywilizacji, lecz „spełniające się brzemie kataklizmy nocy”. Liryka autora *Z szopką* była bowiem poezją „katastroficznego kresu”. Jej wewnętrzne skonstrastowanie, „miękką poetyckiego idio-

mu", odwołanie się do symboliki akwaticznej, a z drugiej strony do symboliki ognia podporządkowane zostało temu właśnie rodzajowi naczelnej, nie tylko poetyckiej, idei. Podobnie jak i ukazanie świata natury, obojętnej w zasadzie wobec ludzkiej tragedii, będącego niemym świadkiem dramatu, a czasem, w intencji poety, ilustracją wewnętrznych zmagają jednostki. To trop wybitnie romantyczny, którego ilustracją mógłby być także sposób „uruchamiania” przez Baczyńskiego żywiołów poetyckiej wyobraźni: jej „przemienność”, przeplatanie się wzajemnie skontrastowanych pod względem aury emocjonalnej i znaczeniowej obrazów, ich zróżnicowana kolorystyka i kosmogoniczna skala. To również przeważająca w większości utworów obecność tradycyjnego podmiotu i bohatera lirycznego, charakterystycznych dla liryki konfesyjnej.

Poezja Baczyńskiego przechodziła przez kilka faz rozwojowych, z których najwcześniejsza przypadła na okres przed 1939 rokiem i dokumentowana jest przez teksty zaliczane nie tylko przez samego poetę, ale także i przez krytykę, do juveniliów. Pierwszych dziesięć utworów niniejszego wyboru poświadcza fakt, że już w tych najwcześniejszych wierszach Baczyńskiego pojawiły się motywy, tematy, rodzaje metaforyki, konsekwentnie rozwijane i pogłębiane w ciągu dalszej twórczości. Był to ów Czechowiczowski typ liryzmu, Miłoszowskie zauroczenie historią, ślady ekspresjonizmu w *Linczu*, *Ars poetica*, w *Chrystusie*, szczególnie impresjonizm *Piosenki* i *Piosenki księżycy*. To, można powiedzieć, Baczyński „w pigułce”, który pełnię samoświadomości osiągnie w drugiej fazie twórczości, szczególnie od jesieni 1941 roku.

Pojawia się wtedy w jego liryce charakterystyczny typ historiozofii poświadczony takimi tekstami jak na przykład *Historia*, *Pokolenie* („Do palców przymarzły struny...”). Poeta utrwała zjawisko wojny totalnej oraz fakt jej zaistnienia zarówno w aktualnie przeżywanej przez niego historii, jak i w historii w ogóle.

Bohater liryczny Baczyńskiego dochodzi do wniosku, że prawa historii i egzystencja człowieka w historii zawsze były i pozostaną identyczne. Literacki katastrofizm pierwszej fazy przerodził się w ten sposób w „porażenie okupacyjne”, wyrażające się najpełniej w kategoriach „katastrofizmu historiozoficznego”, obróconego raczej ku przeszłości, i „katastrofizmu generacyjnego”, nakierowanego na przyszłość – *Ballada zimowa*. *Młodość*, *Ten czas*. Katastrofizm ten w obydwu odmianach nie miał prawie nic wspólnego z antycypacyjnym katastrofizmem II Awangardy. Rozumiany jako nauka historii oznaczał on odrzucenie skargi na jakiś szczególnie dotkliwy los naznaczony pokoleniu Baczyńskiego. Przyjęcie w zamian postawy stoickiej, zgodę, przyzwolenie na indywidualne i zbiorowe dzieje, co tym bardziej uwydatniało tragizm generacji poety, wyrażony został najpełniej w puencie *Pokolenia* z 1943 roku:

czy nam postawią, z litości chociaż,  
nad grobem krzyż.

Towarzyszył temu równoczesny zwrot w poezji Baczyńskiego i jego rówieśników do patetycznego wizjonerstwa poezji Juliusza Słowackiego oraz do etyki, historiozofii i moralistyki liryki Cypriana Kamila Norwida. Od pierwszego z nich zaczerpnął autor *Śpiewu z pożogi* płynność, miękkość nadrealizującej metafory, a od Norwida skłonność do intelektualnego skrótów, językowej dyscypliny wiersza.

Zmianie uległa semantyka tekstów Baczyńskiego z tego okresu. Pojawiły się w nich takie słowa-klucze, jak na przykład „dłuto”, „ciało”, „rzeźba”, „rzeźbić”, powracające z wielką częstotliwością i nasycone konkretnymi znaczeniami, odnoszącymi się do losu jednostki i do natury historii. Kontrast pomiędzy płynnością, wizjonerstwem a surową precyzją intelektualną z drugiej strony jest jedną z podstawowych wewnętrznych opozycji poezji Baczyńskiego.

W trzeciej fazie, w latach 1943-1944, pojawiły się w dorobku poety utwory o tematyce patriotycznej i żołnierskiej, bardziej konwencjonalnej, niż te pochodzące z dwóch poprzednich okresów. *Warszawa, Polacy, Mazowsze, Do Matki Boskiej, Modlitwa do Bogarodzicy* – same w sobie pod względem poetyckiej inwencji niewiele nowego wnoszące do dzieła Baczyńskiego, sąsiadowały z grupą utworów, będących odzwierciedleniem jednego z centralnych problemów tej liryki. Był nim kompleks etycznej winy, żywiony przez bohatera lirycznego już w *Ciele* z 1941 roku:

Czyny kalekie zmienione w rzeczy  
rosną milczeniem pod niebem piaskiem,  
które zgaszone jest trupim blaskiem  
pod nim stygnącej sprawy człowieczej.

Podobne motywy pojawiają się później w *Winie, Wróblach, Spojrzeniu*, w \*\*\* („Gdy broń dymiąca z dłoni wyjmę...”). Według świadectwa tego rodzaju tekstów żaden patriotyczny, narodowy, czy tym bardziej religijny imperatyw nie usprawiedliwia zabijania w nasłuszniejszej sprawie. Ów kompleks „rąk ubrudzonych krwią”, nawet jeżeli była to krew wroga, oraz poetycki ekwiwalent moralnych dylematów jednostki rozdartej pomiędzy nakazami zbiorowości, tradycji a głosem indywidualnego sumienia jest z dzisiejszej perspektywy jedną z najcenniejszych i nieprzemijalnych wartości poezji Baczyńskiego. Podobnie jak jej głęboki personalizm, etyczne uwrażliwienie łączące się z przeświadczeniem poety, że każdy człowiek wobec czynu staje samotny, że nakazy i zakazy wspólnoty niewiele ważą w gruncie rzeczy na tej ostatecznej szali, na której życie i istnienie jest jedyną absolutną wartością. A zatem nie wiersze w rodzaju \*\*\* („Byłeś jak wielkie stare drzewo,/ narodzie mój jak dąb zuchwały”), łączone w najnowszych badaniach z tradycją judaistyczną ze względu na żydowski rodowód matki poety, patetyczne i wzniosłe, ale przede wszystkim te zgromadzone w trzeciej części niniejszego wyboru, dające wyraz samotnym rozterkom i etycznym dylematom bohatera Baczyńskiego, niezależnie od jego apriorycznej zgody na rolę wyznaczoną mu przez historię, należą do najcenniejszych. Nieprawdziwą była także przyznawana Baczyńskiemu pośmiertnie godność „poety katolickiego”. Odwołując się do moralnej strony przekonań religijnych, pisarz starał się uwierzyć, że oprócz okrutnego żywiołu dziejów istnieje trybunał słuszności dla pokonanych, reszta była odwoływaniem się do nośnego, uniwersalnego kodu znaczeniowego, do heroicznym elementom etyki chrześcijańskiej, jednak z przeświadczeniem, że w istocie człowiek jest samotny nie tylko wobec czynu, ale także Boga i Historii. Jak zauważył Kazimierz Wyka, właśnie dlatego, że nie marzyła się Baczyńskiemu rola Or-Ota Armii Krajowej, jego dorobek poetycki „zachował całkowitą i skomplikowaną indywidualność moralną i artystyczną”.

Równie ważnym problemem w poezji okupacyjnego poety była kwestia wyboru pomiędzy obowiązkiem patriotyczno-żołnierskim a zadaniami i wolnością artysty. Z kręgu tego samego pokolenia co Baczyński pisał o tym przejmująco Tadeusz Gajcy w puencie programowego wiersza *Wczorajszemu*:

Nazbyt duszno jest słowom na wargach  
ciosanym z łun i żalu o wadze kamienia –  
Myślałeś: będzie prościej.  
A tu słowa, śpiewne słowa trzeba zamieniać,  
by godziły jak oszczep.

Temu samemu zagadnieniu, czyli dylematom, prawom i obowiązkom artysty w sytuacji zniewolenia zbiorowym nakazem poświęcił utwór *W Warszawie* z tomu *Ocalenie* Czesław Miłosz. Ani końcowe wnioski Gajcego, ani Miłosza nie były, wbrew pozorom, jednoznaczne. Podkreślały ambiwalencję doznawania pełni wolności pod presją wydarzeń historycznych. Eksponowały pewną dwuznaczność takiego procederu i żal za utraconą Arkadią. Podobnych dylematów dowodzą mitytotwórcze poematy Baczyńskiego, szczególnie spośród tutaj nie *przedrukowanych* *Olbrzym w lesie* i \*\*\* („Ach, umieram, umieram”). Znalazła w nich odzwierciedlenie podwójna perspektywa i taka sama tonacja poetycka, gwarantująca dorobkowi Baczyńskiego oryginalność. Z jednej strony przypominające Gałczyńskiego *Wesele poety*, a z drugiej mroczne strofy *Wyboru*, nakazujące porzucić artystowską, metaforyczną normę dnia na rzecz pasji żołnierskiej nocy. Poezja Baczyńskiego była próbą pogodzenia tych dwóch wykluczających się z pozoru perspektyw i wartości w ruchu lirycznego wahadła, oscylującego ustawicznie pomiędzy biegunem kreacyjnego mitotwórstwa i konkretnej historii. Przemieniającego mit w historię i historię w mit.

W roku 1947 Jerzy Zagórski ogłosił artykuł *Śmierć Słowackiego*, będący początkiem powojennej legendy związanej z życiem i twórczością K. K. Baczyńskiego. Czy legenda ta nadal pozostaje żywa? Baczyński funkcjonuje dzisiaj na prawach klasyka. Dotyczy to szczególnie szkolnej wykładni. Ale czy czas nie zaczyna wykruszać części tej poezji? Poematy takie jak *Bunt (Ucieczka na Wezuwiusz)*, *Poemat o Bogu i człowieku*, *Orfeusz w lesie* mogą dziś w niektórych partiach razić słownictwem i stylistycznymi niezręcznościami. W pewnym sensie jest to zjawisko naturalne, związane ze zmieniającymi się w pół wieku po powstaniu tych utworów kryteriami estetycznymi. Natomiast ta część dorobku Baczyńskiego, która została poświęcona etycznym dylematom jego pokolenia, świeci nadal pełnym i niezaprzeczoną blaskiem, chociaż polska historia, na skutek zmienionych okoliczności społecznych i politycznych od 1989 roku, przestała ją już dowartościowywać. Myślę, że dla poezji Baczyńskiego są to okoliczności szczęśliwie pozwalające na jej inne odczytanie, eksponujące bardziej niż dotychczas uniwersalny sens tych wierszy.

\*

Wyboru stukilkudziesięciu wierszy i poematów z całego dorobku Baczyńskiego, obejmującego czterysta kilkadziesiąt utworów dokonano według kryterium chronologicznego. Miało ono za zadanie ukazać rozwój tej poezji od liryki impresjoni-

stycznych wzruszeń po mocny akord *Pokolenia*, będącego poetyckim testamentem pisarza. Zastosowanie kryterium tematycznego przy tej objętości książki mogłoby stworzyć wrażenie pewnego chaosu. Jako podstawę wyboru wykorzystano *Utwory zebrane* Krzysztofa Kamila Baczyńskiego, opracowane przez Anielę Kmitę - Piorunową i Kazimierza Wykę, Kraków 1970, wyd. II.

Stanisław Stabro



## **SPIS WIERSZY**

### ***Z JUWENILIÓW***

Dalmacja  
Lincz  
Ars poetica  
Chrystus  
Piosenka (Znów wędrujemy ciepłym krajem...)  
Piosenka księżycy  
Podróż w naturę  
Hellada  
„Stare miasto”  
Pożegnanie żalosego strzelca

### ***1939-1942***

Ballada o wisielcach  
Ballada o pociągu  
Madrygał  
Dary deszczu wiosennego  
Piosenka (Upływa lęku biały jeleń...)  
\* \* \* (Czarne cheruby kołyszą widnokrag)  
Elegie zimowe  
Pieśń wigilijna  
\* \* \* (Pod nieba dłoniastą palmą nie daj mi chodzić samotnie...)  
Żal  
Zwierciadło  
\* \* \* (Sny dziecinne pachniały wanilią)  
Okręty zimowe  
Miserere  
Śnieg (Bóg jest śniegiem, on ziemię połączy...)  
Legenda  
Wspomnienie  
Świat sen  
Elegia o genezie  
Sur le pont d'Avignon  
Harmonia Beethovena  
Ballada o rzece  
\* \* \* (Spełnia się brzemień kataklicznych nocy...)  
Noc samobójcza  
Teologia

Jesienny spacer poetów  
Jesień 41 r.  
Dzieci na mrozie  
Magia  
Przypowieść  
Ballada zimowa  
Pokolenie (Do palców przymarzły struny...)  
Elegia (Mokre gałęzie świerków...)  
Bez imienia  
Drzewa  
Z szopką  
Kolęda  
Psalm 4  
Śnieg (Ileż dziś skrzydeł ptasich spadło i zgaśło...)  
Ciało  
Wyroki  
Kołysanka  
Biała magia . . .  
Rzeczy niepokój  
Pioseneczka  
\* \* \* (W każdej przemianie podobna kręgowi czasu...)  
\* \* \* (Ty jesteś moje imię i w kształcie, i w przyczynie...)  
Erotyk  
Bohater  
Wizerunek  
Rapsod o klęsce  
Rycerz  
Historia  
\* \* \* (O miasto, miasto —Jeruzalem żalu...)  
Młodość  
Wieczory  
W żalu najczystszym  
Źródło  
Noc  
Pragnienia  
Promienie  
Młot  
\* \* \* (O wielkie niebo świata, od wiatru zmarszczone...)  
U niebios rozkwitających  
\* \* \* (Nie wstydz się tych przelotów...)  
Rzeka  
Modlitwa I  
Modlitwa II  
Modlitwa III  
Tren II  
\* \* \* (Żyjemy na dnie ciała. Na samym dnie grozy.)  
Elegia (Obłoki lotne, żagle uniesień, drzew przyjaciele...)

Zjawy  
Miłość  
Ten czas  
Z nocy  
Z wiatrem  
O mój ty smutku cichy  
Romantyczność  
Prolog (Ojczyzna)  
\* \* \* (Śnieg jak wieko żelazne na oczy opadnie.)

### **1942-1944**

\* \* \* (Książka leżała na stole. Na książkę upadł promień...)  
\* \* \* (Dymy, wysokie sztandary. Deszczu srebrna gałąź...)  
Trofea  
Tego dnia  
Wyzwanie  
Autobiografia  
\* \* \* (Dokąd to jeszcze? Ten cień stoi we mnie...)  
Wina  
Wróble  
\* \* \* (Nie stój u ciemnych świata wód...)  
Naręczona  
\* \* \* (Niebo złote ci otworzę...)  
Śpiew do snu  
Świętość  
Co jest we mnie  
\* \* \* (Oddycha miasto ciemne długimi wiekami..)  
Warszawa  
\* \* \* (Byłeś jak wielkie, stare drzewo...)  
Polacy  
Mazowsze  
Do Matki Boskiej  
Modlitwa do Bogarodzicy  
\* \* \* (Ziemia jak ognia słup. Tnie bat...)  
Elegia o... [chłopcu polskim]  
Poległym  
Obozy  
Deszcze  
Ballada morska  
Bajka  
Dzieło dla rąk  
Lodowisko  
Ciemna miłość  
Spojrzenie  
Dwie miłości  
Zwycięzcy

Ballada o trzech królach

Piosenka śnieżna żołnierza

Sen

Westchnienie

\* \* \* (Tych miłości, które z nami...)

\* \* \* (Nie to, co mi się śniło...)

Rodzicom

\* \* \* (Których nam nikt nie wynagrodzi...)

Z głową na karabinie

\* \* \* (Gdy broń dymiącą z dłoni wyjmę...)

Pokolenie (Wiatr drzewa spienia. Ziemia dojrzała)

Z lasu

\* \* \* (Gdy za powietrza zasłoną dłoń pocznie kształty fałdować...)

### ***POEMATY***

Wesele poety. Poemat

Serce jak obłok. Poemat

Szklany ptak. Poemat-baśń

Wybór

Posłowie